

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
Nr 3579.c
PUBLIN

MERKVRYVSZ POLSKI

ORDYNARYINY

Dziele wszytkiego swiata w sobie
zamyslaicy dla informacyey pospolitey

Założony 1661

W Z N O W I E N I A R O K P

GAZETA TYGODNIOWA



WŁADYSŁAW MAŁSKI
czerwony senator



Tajemnica
Różokrzyżowców
(Str. 47)



DZIEŁE WSZYSTKIEGO ŚWIATA

STARE I NOWE POJĘCIA

Wraz z rokiem starym rozwiało się dużo złudzeń i rzekomych pewników. Któżby przypuszczał, naprzykład, że niezwyknięta Home Fleet angielska ułęknie się samolotów włoskich? Albo Mała Ententa? Wszak pojęcie to należy już do przeszłości. Francji jakgdyby zabrakło, niema jej, do tego stopnia upadł autorytet tego kraju pod rządami Frontu Sowieckiego. Jeżeli się słyszy o Francji, to tylko o szkodach, jakie przynosi innym i sobie samej.

Wzamian zrodziły się w roku 1936 nowe pojęcia, przedewszystkiem fronty sowieckie, których powstanie przypisują sekretarzowi generalnemu hiszpańskiej partji komunistycznej, p. Diazowi. Nie jest to jednak ściśle. Choć Frente Popular zaczął się formować w lipcu 1935, jednak sam pomysł jest daleko starszy. Na słynnym kongresie w Moskwie tow. Dymitrow zaznaczył, że już przed piętnastu laty Lenin uznał tworzenie frontów „ludowych“ za fazę przejściową między rządami lewicowemi, a rządami komuny. Formuły tej trzymają się dziś ściśle wszystkie międzynarodówki.

MAURRAS W WIĘZIENIU

Karol Maurass, najwierniejszy syn Francji, już trzeci miesiąc siedzi w więzieniu za to, że zapobiegł wspólnej interwencji anglo-francuskiej przeciwko Włochom i faszystom. Dzięki bezpardonowej akcji prasowej tego publicysty, który dzień po dniu z niezłomną wytrwałością demaskował zakulisowe posunięcia pewnych czynników międzynarodowych, Frontowi Sowieckiemu nie udało się wzniecić nowej pożogi wojennej.

Towarzysz Blum-la-Guerre, choć w młodości udawał trubadura, nie odznacza się szlachetnymi gestami. To też z zadziwiającą szybkością przeprowadził uwięzienie Maurras'a. I sytuacja jest taka, że dobry patryjota

siedzi w celi więziennej, podczas gdy najrozmaitsi łotrzykowie, skompromitowani w aferze Stavisky'ego, chadzają luzem i zasiadają w parlamencie republikańskim.

DEWOITINE 501

Cudem techniki miał być (i jest przypuszczalnie) nowy francuski samolot bombardujący, Dewoitine 501.

Armja francuska, której szef-ministrem jest teraz p. Piotr Cot, oczywiście cywil, bo tak się już utarło, armja nie dostała jeszcze takich samolotów. W kołach lotniczych mówiono, że to wielki sekret, że dzięki aparatom Dewoitine 501 Francja zyska przewagę nad sąsiadami.

No, i proszę sobie wyobrazić, że pierwszy samolot tego typu wyfrunął pewnego ranka z hangaru wojskowego, niby to na ćwiczenia, i osiadł w Barcelonie. Prowadził go pilot nazwiskiem Rose.

Szczegóły powyższe zebrał i podał do wiadomości publicznej dziennikarz i poseł w jednej osobie p. de Kerillis. Na to minister Cot oświadczył, że p. Kerillis myli się i będzie ukarany za rozsiewanie niepokojących pogłosek.

— Brawo! — zawołał niedyskretny poseł — Bardzo proszę. Niechże pan minister postawi wniosek w parlamencie o wydanie mnie sądom.

Ale panu ministrowi nie jest śpieszno.

W HOLANDJI

Utalentowany pisarz francuski, p. Asselin wydał ciekawą książkę o Holandji. Zaznaczmy odrazu, że autor zwiedził kawał świata, był przez długi czas konsulem w Chinach, następnie mieszkał w Hadze, gdzie jako dyplomata odwiedzał dwór królewski.

Pan Asselin dochodzi do wniosku, że Holandja jest uderzająco podobna do Chin. Znajdujemy w obu tych krajach odrębną i jędrną kulturę, mnó-

stwo dziwacznych (w naszym pojęciu) obyczajów, przywiązanie do tradycji i wiele innych cech wspólnych.

Dwa te kraje dadzą się porównać nawet w drobnych szczegółach, jak zamiłowanie mieszkańców do zbierania cennej porcelany, do wznoszenia niewielkich lecz przepysznie wykonanych budowli. Dodajmy, że oba narody mistrzowsko walczą z niewdzięczną przyrodą. Któż lepiej od Chińczyków i od Holendrów potrafi wydzierać ziemię falom morskim i rzekom niesforemny?

SZCZĘŚLIWY KRAJ

Choć morze od niepamiętnych czasów zagraża płaszczyznom holenderskim, wznoszone mozolnie tamy sprawiły, że ojczyzna nie zapadła się pod wodę, że istnieje.

Osuszenie zatoki Zuiderzee było wysiłkiem tak wielkim, że wobec tych prac sowiecki Dnieprostoj wydaje się nędzną zabawką. A mimo to nikt nie urządził z Warszawy wycieczek do Holandji, natomiast wyjeżdżano tłumnie do Moskwy.

Holandja jest dziś szczęśliwa. Zapomniano o kryzysie, który i tam dał się odczuć, zapomniano o drobnych kłopotach, by uczcić księżniczkę Juljannę, ich księżniczkę, przyszłą królową.

Wszyscy wiedzą, że córka będzie znaną mieszczką, jak i jej matka, że będzie mieszkała w czystym pałacyku w centrum Hagi, że każdy będzie ją mógł obejrzeć i odwiedzić z daleko większą łatwością, niż prezydenta Republiki Francuskiej.

DOBRA MIESZCZKA

Los zrządził, że dynastia związana jest z Hagą, z małym pałacykiem, z życiem typowo mieszczańskim. A wszak Wilhelmina, która sprawuje rządy nad 67 milionami mieszkańców w różnych częściach świata, mogłaby sobie pozwolić na bardziej okazałą rezydencję.

Wychowała się jednak w Hadze i tam pozostaje. Spędza czas w poko-

jach przypominających raczej muzeum osobliwości, niż mieszkanie. Na cennych meblach widnieją tabliczki z nazwiskami ofiarodawców. Na półkach stoją najpiękniejsze wyroby porcelanowe i fajanse, ściany są przybrane dywanami i gobelinami. Od dawien dawna nic tam nie zmieniało. Juljanna spędzi życie w tym samym otoczeniu, w jakim spędziła życie jej matka.

Cóż, przybędzie mnóstwo upominków ślubnych, albowiem imperjum holenderskie jest wielkie i kończy się hen, na dzikich wyspach, nad którymi świeci Krzyż Południowy. Podarki weselne będą poumieszczane w letniej rezydencji w Loo, w starym zamku Vijverserg oraz w pałacu królewskim w Amsterdamie, dokąd królowa zagłąda tylko z konieczności.

Jakże wielki jest kontrast między cichą Hagą, a krzykliwą dzielnicą Damrak w Amsterdamie, gdzie pałac królewski stoi w bezpośrednim sąsiedztwie fabryk likierów, firm transportowych i domów bankierów żydowskich. Nie należy się dziwić, że dobra mieszcza wybrała spokojną Hagę.

BEZ KLÓTNI

Odwieczna waśń między protestantami a katolikami w Holandji przycichła na czas ślubu księżniczki.

Dla protestantów, oczywiście, wszystko co jest związane z religią katolicką, tchnie obskurantyzmem. To też nazywają mieszkańców prowincji południowych „ciemnym południem“ (donker Zuid). Ale południowcy odpowiadają im na to, że wszak królowa, choć protestantka, czytuje wyłącznie „Maasbode“, wielki dziennik katolicki, bijący rekord nakładów w Holandji.

Czyli, że „ciemne południe“ nie jest znów tak bardzo ciemne. Zresztą, czy można mówić o ciemności w kraju, który przed Gutenbergiem znał już druk przy pomocy czcionek rytych w drzewie, w kraju gdzie każdy mieszkaniec ma nietylko własną bibliotekę, ale i domek z ogródkiem?

Spory religijne wprawdzie nie wygasły, lecz dawno minęły czasy, kiedy Grotius szukał ocalenia w ucieczce i był wywieziony w skrzyni pod warstwą książek. Z całej tej historii jest jeszcze aktualna skrzynia z książkami, albowiem nigdzie przeciętny poziom umysłowy obywatela nie jest tak wysoki, jak w Holandji.

KARTKI W NIEMCZECH

Nie ukrywając radości, jakgdyby istotnie stało się coś przyjemnego, na sze dzienniki socjalistyczne piszą o wprowadzeniu kartek na masło w Rzeszy Niemieckiej.

Tego rodzaju radość wydaje nam się szczerą, ale niezbyt szlachetną. Poza to wydaje nam się przedwczesną. Dla pp. socjalistów z „Robotnika“ i z „Dziennika Popularnego“, którzy chcieliby zagłodzić proletarijat niemiecki, piszę poniżej wspomnienia z mego zetknięcia się z kartkami chlebowymi w Niemczech.

ZIMA W ROKU 1920

W zimie 1920 roku wyjechaliśmy w kilku z Warszawy do Francji. Drogę mieliśmy urozmaiconą, gdyż już w Poznaniu konsul niemiecki nas uprzedził, że na Berlin maszeruje z Łotwy armja pod dowództwem generała Kappa, wobec czego dojazd pociągiem jest niepewny.

I istotnie okazało się, że trzeba będzie czekać. Siedzieliśmy więc w Poznaniu, następnie w Zbąszyniu. Pociągi z tamtej strony granicy nie dochodziły.

ECHA „GEOGRAFJI POLITYCZNEJ“.

Artykuł nasz, p. t. „Geografia polityczna w Polsce“, ogłoszony w gwiazdkowym zeszycie MERKURYUSZA wywołał liczne, a nader różnorodne echa w prasie krajowej, oraz w postaci sprostowań, nadesłanych do redakcji.

Interesujący ten plon ogłosimy w następnym zeszycie naszego pisma.

Wreszcie, pewnego ranka dano nam znać, że na stację zajechał pociąg niemiecki, który zaraz wraca do Berlina.

Pojechaliśmy więc, a były to czasy największej nędzy w Niemczech, czasy Noskego, spartakowców i zbuntowanych generałów.

W wagonie, podczas kontroli biletów, konduktor niemiecki zagadnął nas, czy mamy kartki na chleb, po czym poinformował nas, że po przyjeździe na dworzec Fryderykowski należy się zgłosić do okienka, gdzie nam wydadzą kartki po okazaniu biletów kolejowych.

NIESPODZIANKA

Tak też się stało. W Berlinie, który był wówczas zajęty przez wojska socjalistyczne, dostawialiśmy kartki codziennie. Nic się nie zmieniło, gdy miasto zajął generał Kapp i zaczął powywieszać chorągwie cesarskie.

Sytuacja była taka, że w śródmieściu rządził generał nadbałtycki, dookoła miasta gromadziły się wojska Noskego, a w Spandawie i w Pankowie siedzieli komuniści. Mimo to nigdy nas nie spotkał zawód, kartki na chleb dostawialiśmy punktualnie i nie wystawialiśmy w kolejce.

MASŁO I MIĘSO

To, co napisałem powyżej, będzie dla „Dziennika Popularnego“ nieprzyjemne. Pismo to dokłada wszelkich starań, aby nas utrzymać w przekonaniu, że Niemcom grozi głód, że wobec tego wybuchnie tam rewolucja.

Znamy już te banały na pamięć, to też przyjmujemy je pobłażliwie. Wprowadzenie kartek na masło w Niemczech będzie miało ten skutek, że każda gospodyni, bez wystawiania w kolejce, bez targów i poszukiwań, otrzyma tanie masło w ilości wprawdzie ograniczonej, ale napewno nie mniejszej, niż to wypada przeciętnie na jednego mieszkańca w wielu innych krajach.

Krótko mówiąc w Niemczech nastąpi równy podział masła. W innym

kraju, gdzie kartek niema, człowiek zamożny będzie mógł kupować wszystko bez ograniczeń, a dla biedaków pozostaną ziemniaki.

O tem dobrze wiedzą pp. redaktorzy „Dziennika Popularnego“.

GŁOS PANA BURE

Republikanin z krwi i kości, ale człowiek szczery, pan Emil Buré zabrał głos na łamach paryskich „Ordre“ w sprawie Hiszpanji. Przeszudjowawszy różne za i przeciw, publicysta ten doszedł do wniosku, że po zakończeniu wojny domowej w tym kraju, republikański system rządów nie da się utrzymać.

Republika sama przez się wnosi pierwiastki rozkładu. Tylko państwa skonsolidowane pod względem narodowości, państwa ustabilizowane, mogą sobie pozwolić na tego rodzaju ustrój.

„Republika nie nadaje się na eksport — pisze Emil Buré — i nie jest odpowiednia dla wszystkich ludów. Mogą się o nią ubiegać, bez większego ryzyka, tylko małe państwa nie posiadające przeszłości, albo też wielkie mocarstwa, które już zespoliły się całkowicie. Z tego wynika, że prawdziwi przyjaciele powinni życzyć hiszpanom, aby powrócili do monarchji“.

O CZEM ZAPOMNIANO

Kiedy Hitler wprowadzał swe wojska do Nadrenji, Europa zbyt była pochłonięta tym wypadkiem, aby zwracać uwagę na to, co działo się w Hiszpanji. A warto przypomnieć, bo wszak w owym właśnie czasie proklamowano republikę „liberalną“.

Trzynastego marca, czyli w sześć dni po wkroczeniu wojsk niemieckich do miast nad Renem, w jednej tylko Grenadzie spalono jedenaście gmachów publicznych. Tegoż dnia w Madrycie spalono dwa kościoły i redakcję dziennika „La Nacion“.

Dalej, również w marcu, spalono w Kadyksie pensjonat klasztorny dla chłopców; dzieci były wypędzone no-

cą wprost z łózka. W Madrycie podpalono szkołę, fabrykę papierosów oraz redakcję dziennika „El Ideal“. Podobne wypadki zanotowano w Kordobie i wielu innych miastach.

Ogółem w marcu ubiegłego roku poszło z dymem 56 kościołów i 33 instytucje publiczne, nie licząc zbrojnych napadów i bomb.

VON SEECKT

Zmarł w Niemczech generał von Seeckt, twórca Reichswehry, jeden z tych ludzi, którzy nie uznawali żadnych przemian, lecz robili to, co uważali za właściwe.

Jakże powstała Reichswehra? Berlin był opanowany przez zdemoralizowanych żołnierzy. Von Seeckt powraca z frontu wschodniego. Nie ucieka, lecz maszeruje z wojskiem. Tych, którzy chcieli w jego dywizji tworzyć „rady żołnierskie“, dawno już rozstrzelał. Przybywa do Berlina i dowiaduje się, że czekają nań oficerowie z jakiegoś komitetu rewolucyjnego.

Von Seeckt nie wdaje się z nimi w rozmowę. Jest w stolicy jedynym generałem, który nie uległ. Na spotkaniu delegatów von Seeckt wychodzi z rewolwerem w dłoni, obstawia ich wojskiem i rzuca krótki rozkaz: „Rozstrzelać“.

W mieście wywiązują się walki. Von Seeckt, stojąc na czele kilku wiernych pułków, bombarduje dom „Spartakusa“ i rozbija komunę.

Dalej von Seeckt gromadzi dokoła siebie coraz więcej wojska. Nic go narazie nie obchodzi trudności polityczne. Von Seeckt, któremu Ententa nie pozwoliła na stworzenie sztabu, mimo to tworzy kadry sztabowców. Wytrwale, krok za krokiem, zmierza do odbudowy armji.

I raptem społeczeństwo niemieckie dowiaduje się, że wszystko jest przygotowane, że wystarczy zarządzić pobór rekruta, a stare pułki staną pod sztandarami.

Generał von Seeckt nie utrzymywał serdecznych stosunków z Hitlerem. Nic dziwnego. Dzieliło ich wspo-

mnienie zdławionej rewolty w Monachjum, kiedy to narodowy socjalizmomal się nie załamał, a wodza zabrano do więzienia.

Według pogłosek, dotychczas nie wyswietlonych należycie, generał von Seeckt kazał zgładzić w Berlinie przywódców komunistycznych, Libknechta i Różę Luxemburg.

KWESTJA GODZIN

Belgijski minister sprawiedliwości p. Bovesse zamieścił w „Journal de Liège” pesymistyczny artykuł o obronności kraju. Nie chodzi już teraz o tygodnie, ani o doby, chodzi o to, aby móc się bronić kilka godzin, co pozwoliłoby na przeprowadzenie częścionej mobilizacji na tyłach.

Tymczasem, jak się zdaje, armja belgijska będzie mogła stawić opór dopiero na linii Mozy. A więc wszystko, co z takim mozołem dokonano, nowe forty dokoła Leodjum i nowe forty w Limburgu, wszystko to nie zda się na nic.

Wychodzi na jaw brak skoordynowania w pracach fortyfikacyjnych między Belgią, a Francją. Linja Maginota kończy się koło Longuyon. Dalej granica belgijska jest otwarta i wprost zdaje się zapraszać „Panzerdivisionen”, by się przejechały po pięknych szosach.

INNE WĄTPLIWOŚCI

Również i prasa angielska zaczyna zastanawiać się coraz częściej nad obronnością Francji. Tak, linja Maginota jest arcydziełem kunsztu inżynierskiego, ale czemu to nie pomyślano zawczasu o przedłużeniu jej aż do Holandji, bądź też do morza Północnego?

Pozatem nie brak i innych pytań, na które niema odpowiedzi. Naprzykład „Daily Telegraph” pisze:

„Trudno zrozumieć, dlaczego francuzi wydali miljardy na umocnienie linii Renu w Alzacji, mając za sobą barjerę naturalną, Wogezy, praktycznie nie do przebycia. O dlaczego nic nie zrobili, aby zabezpieczyć niziny

północne. Gdyby połowę pieniędzy wydanych na linję Maginota przeznaczyli na ufortyfikowanie granicy niemiecko - belgijskiej lub belgijsko-francuskiej, to dziś zarówno francuzi jak i belgowie mogliby spać spokojnie“.

Jak o tem pisaliśmy w roku ubiegłym, opierając się na prasie francuskiej, Maginot budował swą linję obronną w tem przeświadczeniu, że prawy brzeg Renu pozostanie nadal zdemilitaryzowany. Przyjście do władzy Frontu Ludowego, załamanie się prestiżu Francji, wszystko to sprawiło, że wojska niemieckie wmaszerowały do Nadrenji i dziś Rzesza buduje tam własną linję obronną, przypuszczalnie nie gorszą od francuskiej.

ROSITA FORBES MA GŁOS

Jakaś Rosita Forbes, której nie mieliśmy przyjemności znać nawet ze słyszenia, drukuje teraz w gazetach angielskich swoje wspomnienia o Zaharowie. Była to jego, jak się zdaje, bliska znajoma, czy coś w tym rodzaju. Z nieciekawych wogóle opowiadań tej damy warto zapamiętać jeden szczegół.

Działo się to podczas obrad kongresu Wersalskiego. Lloyd George odwiedził Zaharowa. Kiedy się zegnali w przedpokoju, rzekł nagle:

— Zdaje się, że dziś są pańskie urodziny, panie Bazyli. Otóż powiedz pan Venizelosowi, żeś pan dostał ode mnie w podarunku Azję Mniejszą...

Nie mamy powodów do powątpiewania o prawdziwości tego epizodu. Pani Rosita Forbes nie wymyśliłaby czegoś podobnego. Pozatem wiemy, że podczas kongresów pokojowych dzielono się krajami i prowincjami mniej więcej tak, jak podchmieleni włamywacze dzielą się łupem.

Prezent pana Lloyd George'a był jednak dla Grecji przykry. Anglja uzbroidła greków i kazała im zdobywać Anatolję. Zależało jej na ostatecznym zgnębieniu Turcji. Ale wielki patrijota Kemal - pasza zgotował grekom takie przyjęcie, że nietylko żołnierze neo - hellenscy, lecz i autochtonowie

narodowości greckiej musieli opuścić Azję Mniejszą.

Dodajmy, że dzięki uprzejmości pana Lloyd George'a, około 100 tysięcy greków i Turków przeniosło się na tamten świat. A na dostawach broni zarobił wypróbowany patryjota grecki p. Bazyli Zaharow.

NIPEWNA OJCZYŻNA

Nasza prasa lewicowa, za przykładem prasy zagranicznej tegoż pokroju, stara się urobić jaknajgorszą opinię Japonji. Nie trudno się domyśleć, że tu w grę wchodzi obawa o los ZSSR. Japończycy odebrali już Moskwie kolej wschodnio-chińską, zajęli Mandżurję i przypuszczalnie posuną się dalej.

I nic ich nie powstrzyma. Japończyk musi być imperjalistą, albo zginie. Ciasne wyspy stają coraz mniej pewne. Według instytutu sejmologicznego w Tokio, notującego od 55 lat drgania skorupy ziemskiej, w roku 1936 zanotowano w Japonji około 4.000 wstrząsów. Dlatego, pomijawszy kilka zakątków spokojniejszych, gdzie można stawiać domy murowane, japończycy poprzestają na domkach drewnianych ze ścianami wewnętrznymi z papieru.

Znawca trzęsień ziemi, prof. Suyehiro w ten sposób streścił wyniki możliwych badań: „Działo nabite może wystrzelić tylko wtedy, gdy zapalimy ładunek. Niestety, wystrzały podziemne tem się odznaczają, że nigdy nie wiemy, kiedy nastąpi detonacja“.

Według statystyk japońskich, w Japonji istnieje sześć niebezpiecznych rejonów, w których trzęsienia ziemi spowodowały śmierć kilkuset tysięcy mieszkańców. Nie należy się więc dziwić, że japończycy szukają innych okolic, gdzie ziemia jest bardziej łaskawa.

TORPEDY I ŁODZIE PODWODNE

P. T. J. pisze nam:

Będąc stałym czytelnikiem *Merkuryusza Polskiego* zwróciłem uwagę, że w artykułach omawiających ło-

dzie podwodne zachodzą pewne nieścisłości, a mianowicie: W numerze 40-tym z dnia 13 grudnia 1936 r. na stronie 1172, prawa kolumna, wiersz 11-ty zaczynający się od słów „lecz rzuca torpedę i daje nurka“. Wysoce niezgodnym i niebezpiecznym byłoby, gdyby łódź podwodna chcąc wyrzucić torpedę ćwiczebną czy bojową zmuszana była wynurzać się, tracąc cenną energję elektryczną i czas.

Czas wynurzenia i powtórnego zanurzenia trwa około 65 sekund, licząc średnio, gdyż mogą zachodzić wahania, zależne od wyporności łodzi i wyćwiczenia załogi.

Łódź podwodna, będąc w zanurzeniu pod powierzchnią wody, na głębokości około 7 — 8 m., ma możność obserwacji horyzontu za pomocą peryskopów, celowanie odbywa się za pośrednictwem ustawienia łodzi prostopadle do celu, torpedowanie więc wykonuje się z zanurzenia.

W obecnej wojnie na wodach trytorjalnych hiszpańskich, prawdopodobnie będą brały udział szybkobieżne, nadwodne łodzie motorowe, zaopatrzone w specjalne wyrzutnie torpedowe. Łodzi tych nie należy identyfikować z łodziami podwodnymi. Tego rodzaju broń wprowadzają obecnie w życie marynarki potęg morskich. Szybkość takich łodzi przekracza (Włochy) 48 węzłów, to jest około 89 kilometrów na godzinę.

ŚWIAT NAOPAK

Wiadomość błaha, ale zabawna. Któżby pomyślał, że Europa będzie eksportowała lwy do Afryki?

Otóż proszę sobie wyobrazić, że z Lipska wysłano kilka lwów do Kapstadt (nie licząc częstych zamówień z Hollywood). Albowiem ogród zoologiczny w Lipsku ma najliczniejszy i jakoby najpiękniejszy przychówek, prowadząc handel temi zwierzętami z własnej hodowli od roku 1877.

Jak wiadomo, lwy dzikie, schwyte na lądzie afrykańskim, nie posiadają grzyw, albo też mają marne kosmyki, i dlatego niechętnie są widziane w zwierzyńcach.

DO RZĄDÓW I NARODÓW ŚWIATA apel młodzieży rosyjskiej

Najpoważniejsze ugrupowanie emigracji rosyjskiej, Narodowy Związek Pracy Nowego Pokolenia Rosyjskiego (siedziba Komitetu Wykonawczego tej organizacji mieści się w Belgradzie) nadesłał nam „Apel do Rządów i Narodów Świata“ z prośbą o opublikowanie. Ogłaszamy szereg wyjątków. (Red.).

Powaga chwili zmusza nas do wy-stąpienia.

Decydujemy się na tę próbę, chociaż wiemy, iż dobrze opłacana propaganda komunistyczna użyje wszelkich środków, by głos nasz zagłuszyć, jak udaje się jej zagłuszać w ciągu dwudziestu lat krzyk rozpaczy stu sześćdziesięciu milionów narodu rosyjskiego.

Do Was zwraca się młodzież rosyjska, którą tragiczny los pozbawił Ojczyzny i rozrucił po całym świecie, do Was zwracają się ci, którzy wyrosli wśród Was, wychowani w Waszym środowisku i którzy na ziemi Waszej wchłonęli zasady ludzkości i humanitaryzmu.

Mimo to, że w ciągu dwudziestu lat społeczeństwa kulturalne obojętnie spoglądają na tragedję rosyjską, wierzymy jednak w ich uczucia humanitarne. Jeżeli obecnie daleko mniejsze cierpienia wywołują ich współczucie i jeżeli obecnie na daleko mniejsze niesprawiedliwości reagują oburzeniem, to wierzyć nie chcemy, by pozostały obojętne wobec faktu tragedji tak strasznej.

Historja ludzkości nie pamięta takiego sponiewierania praw człowieka; ani jeden naród nie doznał tak straszego, zarówno moralnego jak i fizycznego spustoszenia, ani jeden naród nie wpisał do swojej historii bardziej krwawej stronicy, jak nasz nie-szczęśliwy naród rosyjski.

Obecne nasze wystąpienie nie jest

spowodowane żadnem politycznem współzawodnictwem.

*

Chcemy wierzyć, że wolna ludzkość, na której sztandarach wypisane są hasła wolności i humanitaryzmu, nie będzie dalej patrzeć obojętnie na okropności naszego stulecia, na jego hańbę.

*

Nie porywamy się na obronę starej Rosji. Jeśli grzechy jej były wielkie, to zapłaciła za nie stokrotnie. Nie bierzemy w obronę starej rosyjskiej arystokracji, dziedziców i kapitalistów. Ich w Rosji już niema.

Powstajemy w obronie narodu rosyjskiego, w obronie tych, co nie są obarczeni grzechami przeszłości, których nikt nie ma prawa powołać do odpowiedzialności za popełnienie tych grzechów. W obozach koncentracyjnych, w tundrach Sybiru, w błotach pomocy i w lasach nie do przebycia, w więzieniach i w piwnicach bolszewickich umierają nie ci, co reprezentowali starą Rosję, lecz miliony chłopów, robotników, ich synowie, ci, dla których jakoby była przeprowadzona i nadal prowadzi się ta krwawa rewolucja. Miliony tych ludzi wysłano na pewną i nieuniknioną śmierć. Domy ich zrujnowano i rozgrabiono. Rodziny ich wygnano z miejsc ojczy-stych i rozrzucano po przestworzach Rosji.

Lecz nie lepszy jest i los tych, co zazywają wolności bolszewickiej. Rosja cała jest zamieniona w katorgę. Przypomnijcie sobie, ile ofiar zabrał głód. Ilu ludzi zginęło skutkiem tego głodu. Znow zaczna sunac szeregi głodnych — gdyż znow nad Ojczyzna naszą wisi straszne widmo głodu. Znow się zaczna bunty głodnych. I znow ich będą uspakajać kulami i gazem duszącym.

Niepokoi Was tragedja narodu hiszpańskiego. Obojętne po czyjej stronie są wasze sympatje, gdyż z jedna-

kowym współczuciem obserwujecie jego walkę. Dusze wasze są wstrząśnięte tem samozniszczeniem.

Lecz czy wiecie, że walka bardziej straszna, walka, w której przez przeciąg 20-tu lat zginęły niezliczone ofiary, toczy się w naszej Ojczyźnie?

Prawda, tam niema frontów. Stamtąd nie dolatują do Was odgłosy strzałów karabinów maszynowych i artylerji, lecz ta walka zabiera codziennie tysiące i tysiące niewinnych ofiar. Po jednej stronie stoi cały naród, po drugiej — jego kaci.

Nie żądamy wiary w nasze słowa. Czyż można uwierzyć w to, co się działo i dzieje w naszej Ojczyźnie? Że głód zabrał przeszło *dwadzieścia milionów* istnień ludzkich, że w obozach koncentracyjnych siedzi przeszło *sześć milionów* ludzi, że tyleż jeszcze znajduje się na wygnaniu i w więzieniach, że w dwudziestym wieku głód zmusza ludzi do stania się ludożercami?

Czyż można uwierzyć w to, by w państwie „wolnego człowieka“ dwunastoletnie dzieci były zrównane wobec prawa z dorosłymi włącznie do kary śmierci? Czyż można uwierzyć, by w państwie „dyktatury proletariatu“ robotnicy byli tak eksploatowani, jak w żadnym innym — najbardziej bezprawnym kraju, że eksploatuje się pracę kobiet i dzieci, że zduszono zupełnie wolny ruch zawodowy?

Czyż można uwierzyć w to, by robotnik Zagłębia Donieckiego mieszkał po bydłecemu w ziemiankach?!

Nie, temu uwierzyć nie można i nie żądamy wiary w nasze słowa.

Pragniemy tylko byście zajrzeli do tej otchłani. I wówczas zobaczycie sami jak jest straszna i jak blade są nasze słowa w porównaniu z okropną rzeczywistością.

Pójdźcie do naszej Ojczyzny i zobaczcie, lecz nie to, co zechcą Wam pokazać. Rosja dawno zna się na „Potiemkinowskich wsiach“. Tych okrucieństw nie zobaczycie na ulicach miejskich. Walka toczy się w fabrykach, w hutach, w stepach Ukrainy

i Azji Środkowej, w górach Kaukazu, w lasach Sybiru i Północy. Teraz jest bardziej okrutna, niż była w pierwszych latach istnienia Rosji Sowieckiej, w latach t. zw. „wojującego komunizmu“.

Prawda, że opłacona propaganda osłania okrucieństwa, jakie się tam dzieją, lecz pomyślcie, jakie okropności dzieją się w państwie, z którego ucieczka karana jest śmiercią? Dlaczego? Czyż nie z obawy, by świat nie dowiedział się o „dobrodziejstwach regime'u“, o „sytnym wesołym życiu rosyjskiego narodu“, o którym tak głośno krzyczy prasa bolszewicka i bolszewizująca?

Bolszewizm w Rosji przeżył się. W ciągu 18-tu lat usposobił do siebie wrogo nawet tych, którzy ślepo mu wierzyli. Podtrzymują bolszewizm tylko ci, którzy już nie mogą zawrócić z krwawej drogi przestępstw i tyranji. Dla nich została tylko jedna droga — rewolucja wszechświatowa i dobrze wiedzą o tem, że o ile jej nie wywołają w najbliższym czasie, to zginą. Oto dlaczego wzmożli swój nacisk na Europę.

Bije godzina dwunasta. Miljony błędzących szczerze wierzą, że tam w Rosji buduje się lepsze, sprawiedliwsze życie socjalne. Dajcie możność tym wszystkim, co uwierzyli w bolszewickie kłamstwa, zobaczyć rosyjską rzeczywistość!

Poślijcie waszych delegatów z komisją ankietową, dobrze władających językiem rosyjskim. Niech to będą przedstawiciele bezinteresownej i bezpartyjnej społeczności.

Załadajcie od Sowietów gwarancji:

1) Nieskrępowanego ruchu na całym terytorjum państwa.

2) Prawa wywiadów i zadawania pytań wszystkim i wszędzie.

3) Prawa odwiedzenia wszystkich obozów koncentracyjnych i miejsc przymusowego zatrudnienia.

4) Prawa fotografowania.

Jeżeli Sowiety nie mają nic do ukrycia, to się zgodzą. W przeciwnym razie ich propaganda kłamie.

OKRUCHY TYGODNIA

Wśród zupełnej ciszy i bierności warstw, uważających się za patryjotyczne, front „Piomyka“ rozwija coraz szerszy atak. Ze szpalt zjednoczonej prasy tego frontu, a więc „Robotnika“, „Dziennika Popularnego“, „Kurjera Porannego“, „Epoki“, oraz dwu dzienników, wydawanych przez prowodyrów Związku Nauczycielstwa Polskiego, dzień w dzień, z uporem, w którym widać system, bolszewizując się poszczególne odcinki polskiego życia publicznego.

Robocie prasowej ściśle dotrzymuje kroku akcja w terenie. Większość członków Z. N. P., ludzi przeważnie uczciwych i po polsku czujących, ale, niestety, steroryzowanych przez kierownictwo — zaprzężona jest do agitacji, której charakter nie pozostawia najmniejszych wątpliwości.

DLACZEGO TERAZ?

W ostatnich tygodniach główna energia „propagitu“ ZNP skierowała się przeciwko Macierzy Szkolnej. Na rozkaz „aktywu“ centralnego, powiatowe „aktywy“ ZNP na całym terenie Rzeczypospolitej zwołują zebrania nauczycieli i nauczycielek, nieraz nie należących do ZNP („jednolity front nauczycielstwa“) i proponują uchwalenie protestów przeciwko Polskiej Macierzy Szkolnej. Zebrania te nie wszędzie się udają, ale z tych okolic, gdzie technikom ZNP powiedzie się przeprowadzić uchwałę — wysyła się natychmiast sążniste telegramy do Ministerstwa Oświaty.

Tak się robi nastrój.

Pytanie, czemu to właśnie teraz tak się wzmogła akcja przeciwko Macierzy? Przecież Macierz zawsze miała w swym programie postulat religijnego wychowania młodzieży, co wywoływało na ustach wolnomyślicieli z ZNP pianę takiej wściekłości? Przecież ZNP zawsze wojowało z Macierzą, ale nigdy nie zwoływało masówek, nie operowało depeszami i t. p.? Czemu teraz, w ciągu ostatnich

czasów gwałtowność akcji wzrosła kilkakrotnie?

Cóż się stało takiego, że aktywność na tym odcinku wzmocniono?

SZKOŁY NA KRESACH

Genezy wypadków trzeba szukać w głośnym oświadczeniu p. min. Świętosławskiego, że w ostatnim (wówczas) roku szkolnym *miljon* dzieci znalazło się poza szkołą. Polska Macierz Szkolna nie pozostała obojętna wobec tego zjawiska i natychmiast uruchomiła kilkaset szkół powszechnych.

Uruchomiła te szkoły na t. zw. kresach. Nie na Mazowszu, ani w Małopolsce, ani w Poznańskim, ani na Pomorzu. Akcją zakładania szkół powszechnych Macierz Szkolna rozpoczęła w województwach: *wileńskim, nowogródzkim, poleskim i wołyńskim.*

Otóż trzeba znać politykę sowiecką w stosunku do tych województw i nacisk, jaki ZSSR kładzie na bolszewizowanie ludności tych właśnie okolic, aby zrozumieć niepokój, jaki ogarnął bolszewję i jej agentów na widok organizowania szkół prawdziwie polskich wśród „mniejszości narodowych“. Macierz „targnęła się“ na oczko w głowie komuny: kresy.

Oto dlaczego tak się wzmogła furja komunarów.

FRONT DEMOKRATYCZNY

Czyli musztarda po obiedzie. Organizatorzy „Folksfrontu“ popełnili tym razem drobny błąd taktyczny. Zwykle naprzód ustawiali dekorację, a potem odgrywali komedię. Teraz zrobili naodwrot: naprzód zeszli się pp. Rzymowski, Czaplinski, Machowski (mikro-Stalin ZNP), Muszkatenblit (z Dziennika Popular) i jeszcze kilku innych, ustalili zasady wspólnego działania i rozpoczęli akcję. Szybko jednak zdemaskowano całą

socjetę i położenie stało się nieprzyjemne.

Zaprzeczyć nie mogli, bowiem dowody wspólnego działania były jasne i nie ulegające najmniejszej wątpliwości. A z drugiej strony: dziwnie to wygląda taka cicha zmowa „opozycyjnego“ Robotnika, z „sanacyjnym“ Kurjerem Porannym, a do tego z ZNP, po wyroku „Płomyka“ sądowo ostemplowanym, jako agent bolszewicki.

Na jaki więc pomysł wpada towarzystwo? Dość naiwny, ale, jak na czytelników wszystkich tych organów zapewne wystarczający: ustawia dekoracje post factum.

WSZYSTKO JAWNIE!

„Kurjer Poranny“ publicznie, w druku zadaje „Robotnikowi“ pytanie, czyby nie był skłonny zorganizować front demokratyczny? „Robotnik“ wpada w entuzjazm: ależ i owszem! Naturalnie! Że też im wcześniej to na myśl nie przyszło! Prawda! Front demokratyczny!

Potem milkną na chwilę (w języku scenicznym nazywa to się „odchodzą na stronę“), przed rampą staje „Epoka“.

— Front demokratyczny? — powiada na cały głos (nie mają żadnych tajemnic, proszę uważać) — prawda! Front demokratyczny! Rzeczywiście, jak to dobrze, że to p. Rzymowskiemu na myśl przyszło! Ja też do frontu zgłaszam akces.

Potem następuje

Scena III

(Ciż i „Dziennik Popular“).

Dziennik Popular (wychodzi na przód sceny. Głośno): O czym mowa? Bo nie dosłyszałem?

Robot, Kurjer Poranny i Epoka (chórem): Mówimy o Froncie Demokratycznym. Chcemy założyć Front Demokratyczny!

Dziennik Popular (zdziwiony): A co to jest ten Front Demokratyczny? Nigdy o tem nie słyszałem?

Robot, Kur. Por. i Epoka (razem):

Przeciwko zorganizowaniu reakcji oenero-faszystowskiej. W obronie demokracji i humanitaryzmu.

Dziennik Popular: Że co?

Ciż (j. w.): Że klerykalizm.

Dziennik Popular (entuzjastycznie): Naturalnie i ja przystępuję! Że nikt wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Ura! Zdrawstwuje Front Demokratyczny! (odchodzi na stronę).

Scena IV

(Ciż).

Na scenę wchodzi „Dziennik Poranny“ i „Gazeta Wieczorna“, trzymając się pod rękę. Stają przed rampą.

D-p i G-w (głośno): Coś słyszymy o jakimś froncie? O co chodzi? Bardzo jesteśmy ciekawi, a nic, ani w żąb nie orjentujemy się w niczem? Powiedźcie i nam, co się dzieje?

Ciż (razem): Nic dziwnego, bo nam tak to w ostatniej chwili do głowy przyszło. Front, uważacie, demokratyczny chcemy założyć.

D-p. i G-w (głośno): Ale publicznie! Bez żadnych tajemnic?

Ciż (głośno, chórem): Naturalnie! Oczywiście! Właśnie w prasie toczy się publiczna dyskusja, żeby demokracja i antyklerykalizm...

D-p i G-w (solennie): Jeżeli publicznie i bez żadnych tajemnic, to i owszem. My też przystąpimy do Frontu.

Tak to publicznie, w oczach czytelników zakłada się Front Demokratyczny w dwa miesiące post factum.

Jedna tylko refleksja przychodzi do głowy, patrząc na to wszystko. Za jakichż bęcwałów i matolek uważają swych czytelników organy false „Frontu Demokratycznego“, recte Frontu „Płomyka“, stricte jawnej jaczajki „Folksfrontu“! Żeby dziś, kiedy już wróble na dachu świergocą o urodzonym w listopadzie sojuszu, żeby dziś, powiadam, w styczniu, udawać bóle porodowe i wykrzykiwać o konieczności sformowania frontu...

WIERSZYK

Wyjątek z wierszyka, drukowanego w „Dzienniku Popularnym“ (nr. 78):

...ciągną twardzi ludzie z Rusi, ze
Spisza, z Luptowa,
wolni, smolni drwale leśni hań, z za
Jabłonkowa,
z madziarskimi lasey chłopcy w równym
wałą glidzie,
a przed nimi towarzysów zbor, jak
chmura idzie.

Szumi nuta, niczem z wiosny potok
dolinami:
ej panowie, nie będziecie przewodzić
nad nami!...
w bramy burgów siekierami tłucze,
dwory pali
łuny, łuny!...

Oto wizja, jaką przeżywa p. Muszkatlenblit, jaką rozstrzuwa przed oczyma czytelników, jaką kusi chłopców „laskich i madziarskich“. Wyraźnie, prawda?

GDYBY TAK ONI?

A ciekawe, jakiby się wrzask podniósł w prasie „fołksfrontowej“, gdyby tak w „Narodowym Socjaliście“ naprzykład ukazał się wierszyk z wizją rozbijanych siekierami nie bram burgów, ale sklepików, płonących nie dworów, ale pierzyn żydowskich?

Ciekawe? Czyżby wogóle mógł się taki wierszyk ukazać? Redaktor „Narodowego Socjalisty“ dziesięć razy by się namyślił, zanimby wierszyk wydrukował, a za jedenastym razem dreszczeby go przeszły na myśl o skutkach i dałby pokój.

Co innego gloryfikować palenie dworów.

ROCZNICA 27 GRUDNIA

Nie trzeba być poznańczykiem, aby w dacie „27 grudnia“ usłyszeć ton swoisty. Skorzystajmy tedy z okazji, że niedawno minęła rocznica powstania wielkopolskiego, aby zanoto-

wać pawien szczegół, natury wręcz rewelacyjnej.

Wiąże się on ściśle z okolicznością, systematycznie przez MERKURYUSZA rozstrząsaną, że ta sama mafja międzynarodowa, która dziś za wszelką cenę, per fas et nefas chce świat cały rzucić na Niemcy hitlerowskie i zniszczyć siedlisko ruchu antyfamilijnego, powołując się przytem obłudnie na jakieś głębsze idee, na jakieś sentymenty przeciwniemieckie — że, powiadam, ta sama mafja w latach 1918 — 1932, kiedy Niemcy (od dawien dawna) były właśnie jej ostoją, domeną i narzędziem — ochraniała te Niemcy, protegowała je i również za wszelką cenę, per fas et nefas chciała je uratować przed skutkami przegranej wojny. Ta mafja ułożyła traktat wersalski tak, że w porównaniu z rozgromionymi monarchjami katolickimi: Austrią i Węgrami — protestancka Rzesza wyszła obronną ręką, zarówno terytorjalnie, jak gospodarczo, ta sama mafja dokładała wszelkich sił, aby opanowana przez nią Rzesza co najszybciej wróciła do poprzedniej potęgi. Mafja nigdy nie walczyła i nie walczy z Niemcami. Dzisiejsza propaganda „antygermańska“ jest tylko walką z Hitlerem.

Właśnie kapitalny przyczynek do tego zjawiska ogłasza dr. Wojciech Jedlina-Jacobson, w swych świeżo wydanych pamiętnikach p. t. „Z ludem Wielkopolskim przeciw zaborcom“.

DRUZGOCĄCY ŚWIADEK

Rzadko kiedy w tej rubryce zajmujemy uwagę Szanownych Czytelników książkami. W tym jednak wypadku koniecznie trzeba zrobić wyjątek.

Dr. Jacobson, lekarz toruński, znany jest Czytelnikom ze swej ciekawej książki, wydanej kilka lat temu p. t. „Z armją v. Klucka na Paryż“. Książka obecna jest dalszym ciągiem wspomnień autora, napisanych, taksamo, jak tom poprzedni,

interesująco, z niezaprzeczoną talentem, doskonałym językiem.

Co jednak zasługuje na szczególną uwagę, to te miejsca książki, w których dr. Jacobson mówi o polityce wobec Rzeszy rewolucyjnej. Otóż wiadomo wszystkim, mniej więcej, ale mętnie, z niejasnych pogłosek, bardzo ogólnikowo, że zarówno wybuch powstania wielkopolskiego, jak i potem agresja powstańców przeciw Niemcom *była hamowana*. Znalazły się czynniki, które powstrzymywały rozpęd ochotników poznańskich przeciwko zaborcom.

Niewiadomo było jednak, kto to tak Niemców ochraniał, kto to wstrzymał powstańców przed wypędzeniem prusaków z Wielkopolski, kto to np. całą siłą hamował powstańców przed zajęciem Prus Wschodnich, które, podobno (tak twierdzą świadkowie wypadków ówczesnych) mogło zająć dwustu uzbrojonych ludzi. Taki był popłoch wśród wojsk i junkrów pruskich.

Otóż dr. Jacobson wyraźnie świadczy, gdzie tkwiły czynniki, hamujące ruch antyniemiecki.

A WIĘC MAFJA

Nim zacytujemy dr. Jacobsona, wtrąćmy nawiasem, że, co wiadomo skądinąd, polityka mafji w Polsce, zaraz po wypadkach listopadowych 1918 roku, polegała na wślizgiwaniu się do wszystkich kółek kierowniczych. Jakoteż *we wszystkich bez żadnego wyjątku* partjach politycznych z lat wojny i roku 1918, w przeważającej części instytucyj kierowniczych tkwili agenci mafji.

Właśnie ich to miał na myśli ś p. Marszałek Piłsudski, wypowiadając swe historyczne słowa o „obcych agenturach“.

Rzecz oczywista, że nie wolna była od agentów mafji i poznańska Naczelna Rada Ludowa.

A cóż mówi dr. Jacobson? Właśnie stwierdza, że *Naczelna Rada Ludowa wstrzymywała wybuch powstania, a potem jego postępy, w decydującym zaś momencie chciała zgubić ca-*

ły ruch, poddając Gniezno, ówczesny klucz sytuacji strategicznej.

Powstania dokonał żołnierz wielkopolski. Szeregowcom i oficerom zawdzięczamy, że prastara dzielnica polska jest przy Rzeczypospolitej. Doły narodowe sprawiły, że dziś na placu Wolności w Poznaniu nie rozlegają się okrzyki: „Heil Hitler“!

ŚWIADECTWO DR. JACOBSONA

Dr. Jacobson pisze:

Nasza władza — Naczelna Rada Ludowa — (N. R. L.) organizująca się już od szeregu tygodni nie zdobyła się na żaden stanowczy krok w sprawie Powstania. Nie zapadły żadne decyzje o rozszerzeniu tego ruchu na cały zabór pruski, nie odważono się na zlikwidowanie niemieckich załóg na przedmieściach Poznania, a także nie tknięto nawet załogi w koszarach podmiejskich.

Niemcy w Poznaniu skłonni jeszcze 29 grudnia rano do pertraktacyj o poddanie się, wieczorem tegoż dnia stają się butni na nowo. W ich koszarach wre ruch. Równocześnie wieczorem wpływają do Naczelnej Rady Ludowej alarmujące wieści o wyprawie Prusaka z Głogowy i Leszna na Poznań a z Bydgoszczy na Gniezno.

Następnego dnia tj. 30 grudnia zaczęto w Poznaniu na gwałt umacniać wewnętrzny pas fortyfikacyj niemieckich z 1914 r. licząc się z rychłym nadejściem Niemców od północy i wschodu jako logicznym następstwem powziętej dnia poprzedniego decyzji N. R. L., że Gniezno ma poddać się Niemcom.

W dalszym biegu rzeczy musiałyby oddziały walczące pod Zbąszyniem, Wolsztynem i Leszmem cofnąć się, dążąc na beznadziejną pomoc Poznaniowi. Przy coraz to silniejszym napieraniu koncentracyjnym Niemców musiałyby one ustąpić pola w kierunku Królestwa. W najlepszym wypadku mogłyby rozpaczliwie walcząc utrzymać się na matych skrawkach Wielkopolski, gdzieś pod Ostrowem, Pleszewem czy Jarocimem.

Gdyby Gniezno poddało się, to w trzy dni później mogłyby pierwsze oddziały niemieckie stanąć pod bramami Poznania a w krótki czas po tym musiałyby nastąpić kapitulacja stolicy Wielkopolski. Jak bowiem bronić miasta, twierdzy bez armat, chociażby z najdzielniejszą lecz nieuzbrojoną załogą bez dowódców, przeciw armji nowoczesnie wyekwipowanej, która przez szereg lat stawała czoło całemu światu?!

Poznań, ani władze skoncentrowane w jego murach nie wyłoniły z siebie człowieka, któryby rzucił hasło powstania na wszystkie dzielnice zaboru pruskiego. Przeciwnie, wołano małodusznie na wszystkie strony: „Trzeba żyć w zgodzie z Niemcami, nie rozdrażniać ich!“ Brzmiało to prawie jak wyparcie się czynu ludu polskiego w dniu 27 grudnia 1918 r.

Raz wreszcie należy powiedzieć otwarcie i jasno tę niemiłą prawdę, że nie ten „wielki Poznań“ i jego władze dokonały czynu powstania wielkopolskiego, lecz lud — sam lud z Poznania i Wielkopolski wbrew tym, których powinien był słuchać.

BYŁ NA POŁUDNIU, W POLSCE

Krótko przed świętami poznałem bardzo przyjemnego finna, rodem z Uleaborga, co, jak przypuszczam z dalszego rozwoju wypadków, musi być gdzieś już pod kołem biegunowem. Ten młody człowiek, student prawa, korzystając z ferji świątecznych zrobił wycieczkę do Polski. Żarliwie oglądał wszystko: Łazienki, Muzeum Przemysłu i Handlu, Zamek, kościoły, dworzec główny. Pytałem, co go najbardziej zajęło.

— Nalewki — odrzekł bez wahania, a potem dodał z entuzjazmem — Co za wspaniały folklor prawdziwie południowy! Czegoś podobnego nie-

ma w całej Europie. Nadzwyczajnie!

W czwartek spotykam mojego finna na Marszałkowskiej. Idzie sobie do figury, paletko przez ramię, lasczką wywija. Przywitaliśmy się. Gadu-gadu o tem i o owem. W pewnej chwili, finn, mówiąc coś, użył tego zwrotu:

— U was, na południu...

Spojrzałem na niego uważnie. Kpi sobie, myślę, czy co?

— Jakto, na południu? — powiadam — to pan myśli, że Polska leży na południu?

Roześmiał się.

— Cóż tu jest do myślenia? w styczniu siedem stopni ciepła! Winogrona u was dojrzewają!

CUDOWNY KLIMAT

Aha myślę sobie. Nasza propaganda działa. Już mu powiedzieli o Zaleszczykach. Tegoroczna zima też się do propagandy dołożyła i oto skutek.

— A czy pan wie, co się tu u nas czasami dzieje w lipcu? — spytałem na pożegnanie.

— Wyobrażam sobie! — zawołał z przerażeniem uleaborżanin.

Ja też sobie wyobrażam, co on będzie opowiadał w domu, po powrocie.

— Gdzieś był? — spytają przyjaciele.

— Spędziłem święta na południu — odpowie skromnie — w Polsce. Cudowny klimat, powiadam wam. Winogrona! W styczniu po ulicach chodzi się do figury.

Swoją drogą trzeba przyznać, że nieraz dziwnymi sposobami kształtują się opinie podróżników. Czyż francuzi nie przyjeżdżają do nas zawsze w takim lipcu, kiedy leje, jak z cebra i trzeba w piecach palić?

J. B.

PRENUMERATE

MERKURYUSZA POLSKIEGO

można zamawiać telefonicznie: telefon 6.64.75

UJAWNIAC MASONJE

Pochodzenie i wykład godła Różokrzyżowców

Pan X. J., w „Myśli Narodowej“ (nr. 1), nawiązując do szczegółu, że w herbie księcia Walji figuruje dewiza „Ich dien“ (po niemiecku „służyć“), co jest wyraźną odmianą dewizy Różokrzyżowców „Służyć!“ powtarzającej się także w masońskiej organizacji „Rotary Clubów“), przytacza kilka innych — może przypadkowych, jak przypuszcza autor, ale w każdym razie podejrzanych — wypadków spotkania tej dewizy „służyć!“ w organizacjach, w których ta dewiza, jako typowo masońska, figurować nie powinna. Mianowicie dewizę tę spotyka się w skautingu angielskim, w Związku Polskiej Młodzieży Żeńskiej i t. d.

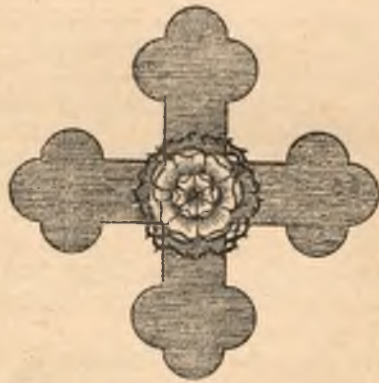
Ponieważ imię i symbol Różokrzyżowców spotyka się w ostatnich czasach dość często na łamach prasy, przeto, zgodnie z aktualną dziś akcją ujawniania masonji, zanotujmy na tem miejscu pewien szczegół, natury wielce doniosłej i na rodowód masonji rzucający światło charakterystyczne, zresztą całkowicie zgodne ze wszystkimi innymi świadectwami, dotyczącymi źródła pochodzenia masonji i jej formacji wcześniejszej, Różokrzyżowców.

SKĄD POCHODZI SYMBOL?

O ile znam literaturę tego przedmiotu (a jeśli się nie mylę, znam ją dość dobrze) — nigdzie nie jest podane źródło pochodzenia symbolu Różokrzyżowców, oraz jego wykład. Wiadomo tylko, że znakiem Różokrzyżowców jest grecki krzyż, którego

przecięcie oplecione jest 13-listkową różą w wieńcu cierniowym.

Reprodukuje poniżej rysunek godła Różokrzyżowców, zaczerpnięty z masońskiej publikacji angielskiej „The Light Of Egypt — The Strange Story of the Rosicrucians by Sri. Ramthorio. Copyright 1930 By AMORC. San Jose, California U. S. A.“.



Jak wspomniałem powyżej, literatura, ogłoszona dotychczas nie wie, skąd pochodzi ten symbol i jakie jest jego znaczenie. (Nie trzeba dodawać, że publikacja, z której zaczerpnęliśmy rysunek, przeznaczona dla adeptów najniższych stopni, prócz mitycznych historyjek o kawalerze Chrystjanie Rosenkreutz i t. p. nic istotnego o pochodzeniu i symbolice godła nie podaje).

Otóż w rzeczywistości godło Różokrzyżowców, taksamo, jak cała symbolika, nomenklatura, duch masoński — pochodzi z Kabały, a w szczególności ze sławnej księgi, napisanej czy też skodyfikowanej w końcu XII wieku przez rabina hiszpańskiego Mojżesza bal Szemtów z Leonu, p. t. Zohar (Odblask). Jak wiadomo, ta księga była podstawą ideologii kabbalistów późniejszych, Izaaka Lurji oraz Chaima Vitala, oraz sekciarzy Sabbataja Cwi i Jakóba Lejbowicza Franka.



Dozbroić!
Polskę na morzu!

CO OZNACZA RÓŻA?

W symbolice kabbalistycznej róża oznacza gminę Izraela. Księga Zohar mówi o tem wyraźnie i co więcej, właśnie do tego symbolu przywiązuje wagę szczególnie wielką, traktując różę, jako punkt wyjściowy całej symboliki, jako, żeby tak rzec, pierwszy, podstawowy symbol kabbalistyczny.

Księga Zohar rozpoczyna się od wykładu symbolu róży. We wstępie do Zoharu I, a) czytamy:

Rabbi Chijskja począł wykładać: „Jak róża między cierniami (Pieśń nad pieśniami II, 2), tak moja przyjaciółka między dziewczętami“. Co oznacza róża? Gminę Izraela. Jak na różę, znajdującą się między cierniami, widzimy czerwone i białe (pręciki i płatki), tak też widzimy na gminie Izraela surowe prawo (kolor czerwony) i miłosierdzie (kolor biały). I jako róża ma trzysta listków, tak też gmina Izraela posiada 13 przymiotów Bożego miłosierdzia, otaczających ją ze wszystkich stron

Oto bowiem wydobyl Bóg 13 słów, w miejscu, w którym wymienione jest Jego imię, aby otoczyć i ochronić gminę Izraela. Po tych 13 słowach jest

znów wymienione imię Jego. A dlaczego znów wymienione jest Imię Jego? Aby wydobyć owych 5 silnych płatków, otaczających różę. Jest to pięć task zbawiennych, to jest 5 bram, któremi wysłuchana modlitwa wznosi się do nieba i któremi schodzi zbawienie dla Izraela. Na tę tajemnicę wskazuje zdanie (Psalm 116, 13): „Kielich zbawienia wznoszę...“. Jest to kielich, nad którym odmawia się błogosławieństwo (nad winem). Kielich ten musi spoczywać na pięciu palcach, podobnie, jak róża opiera się na pięciu silnych liściach kielicha. Róża oznacza puhar, nad którym odmawia się błogosławieństwo. Od tej nazwy Bożej do trzeciej jest 5 słów, a dalej stworzone zostało światło.

Tyle Zohar. Pomijając mętną i zagadkową frazeologję (której wykład i właściwy sens niewątpliwie znają wtajemniczeni), powyżej przytoczony wstęp do księgi Zohar tłumaczy całkowicie jasno rodowód i znaczenie symbolu Różokrzyżowców: oznacza on cel tego zakonu: oplecenie chrześcijaństwa przez gminę Izraela, tak jak opleciony jest krzyż przez różę w cierniach.

Andrzej J. M.

DO RĄK WŁASNYCH

JWP. Boy-Żeleńskiego i JWP. Koczorowskiego w miejscu

Mamy zaszczyt powiadomić JWPanów, że podczas zwykłej wędrowki po antykwarniach, spotkaliśmy u Baumkolera, na Świętokrzyskiej egzemplarz dzieła Jednego z Panów, dedykowany entuzjastycznie Drugiemu z Panów.

Tytuł dzieła brzmi „Norwid i Dziś“. Nazwisko autora: Piotr Koczorowski. A oto tekst dedykacji:

Wielce Szanownemu Panu Tadeuszowi Boyowi - Żeleńskiemu przesyłam to bojowanie o Norwida z wyra-

zami głębokiego poważania i szczerego podziwu.

St. P. Koczorowski
Chocimska 6
Wielkanoc 1935

Ani na chwilę nie dopuszczamy okropnego podejrzenia, że to sam adresat tej entuzjastycznej dedykacji puścił na żydy bojowanie o Norwida. Przeciwnie, jesteśmy pewni, że kryje się w tem wszystkim jakaś ponura tajemnica. W każdym razie, oży-

wieni przekonaniem, że płody ducha wybitnych krytyków, dedykowane sławnym ludziom nie powinny ponieierać się po żydowskich antykwarniach, nabyliśmy niezwłocznie wspomniane dzieło (razem, oczywiście, z płomienną dedykacją) i oświadczamy JWPanu Adresatowi, że dedykowany Mu „Norwid i Dziś“ jest znowu do odebrania w naszej redakcji za zwrotem 50 groszy, wyłożonych gotowizną wzmiankowanemu Baumkolerowi.

Na wypadek, gdyby JWPan Boy-Zeleński nie rewindykował dedyko-

wanego Mu egzemplarza, wyrażamy gotowość odstąpienia go na tych samych warunkach JWPanu Stanisławowi Piotrowi Koczorowskiemu, aczkolwiek przykrą jest dla nas myśl, że mogłoby to wpłynąć na rewizję dedykacji w kierunku zmniejszenia poważania i zwiększenia podziwu dla obojętności JW Pana Tadeusza Boy-Zeleńskiego w tej, nad wyraz drażliwej sprawie.

Prosimy przyjąć wyrazy głębokiego poważania i szczerego podziwu

Redakcja.

WŁADYSŁAW STUDNICKI

LUDZIE, IDEE I CZYNY

Książka powyższa zawiera szereg monografij dłuższych i krótszych o działaczach politycznych z przedednia wojny światowej, okresu wojny i już Niepodległego Państwa Polskiego. Autor przede wszystkim zatrzymał się na centralnej postaci tego okresu, na Józefie Piłsudskim, następnie uwzględnił jego ministrów spraw zagranicznych: Stanisława Patka, księcia Eustachego Sapiełę, Augusta Zaleskiego i Józef Becka oraz generałów Piłsudskiego: gen. Kazimierza Sosnkowskiego, gen. Edwarda Śmigłego-Rydza, uwzględnił też generałów — współzawodników, a mianowicie: gen. Tadeusza Rozwadowskiego, gen. Władysława Sikorskiego i Józefa Dowbora-Muśnickiego. Potem dał zarys twórcy obozu narodowo-demokratycznego i jego przywódcy — Romana Dmowskiego. Dla scharakteryzowania różnych kierunków i odcieni myśli i czynu polskiego, autor dał monografię o Daszyńskim, Witosie, Paderewskim, Aleksandrze Lednickim, prof. Marianie Zdziechowskim, prof. Askenazym, Bogdanie Hutten-Czapskim i Janie Kucharzewskim.

Żywy udział w życiu politycznym Polski Władysława Studnickiego w ostatnim 40-toleciu, osobista styczność niemal ze wszystkimi omawianymi przez niego działaczami politycznymi, czyni książkę cennym materiałem historycznym, przyczynia się nie tylko do wyjaśnienia wypadków dnia wczorajszego, lecz i do zrozumienia układu politycznego prądów i kierunków dnia dzisiejszego.

Książka — około 250 stron druku, wyjdzie w ostatnich dniach stycznia lub w pierwszych dniach lutego 1937 r. Kosztować będzie po wyjściu 7 zł. Kto wpłaci na konto pocztowe Nr. 8785 Spółka o ograni. poręce „Pion“ *) zł. 5.— przed wyjściem książki, otrzyma ją pocztą bez kosztów przesyłki.

*) Spółka rzeczona nie ma nic wspólnego z wydawnictwem tygodnika „Pion“.

PRZEGLĄD PRASY

POLONIA-ITALIA

Nadaje się i Administracja i Warszawa, Zgoda 7 tel. 641-46

Warszawa, 20 grudnia.

Jedną z rzeczy najśmieszniejszych, a jednocześnie godnych politowania, jest widok demokratów (tych, których Mekką jest Genewa), wobec bestialskiego i zbrodniczego rozpętania bolszewizmu. Wzięci we dwa ognie między swoje zasady wolności słowa, zebrań i działalności politycznej i t. d., a niebezpieczeństwo kataklizmu społecznego, w którym pierwsze właśnie zginęłyby ich zasady — nie wiedzą co robić: czy uśmiechać się do rozbójników atakujących cywilizację europejską, czy zwrócić się przeciwko nim w obronie tej cywilizacji

*

Naturalnie. Czyż demokratą nie jest politycznym wcieleniem „apprenti sorcier“, który wywołuje demony z całą ich siłą, a potem przypomina sobie, że nie zna magicznej formułki, aby je móc odesłać do piekła? Bolszewizm jest takim demonem, którego wywołano, i którego nie wiadomo jak zakląć, aby się odeń uratować.

Ale jeszcze dokładniejszym określeniem demokraty, szczególnie demokraty typowego, twórcy doktryny, jest określenie: „odsłaniacz tajemnic“: powierzchowny puszczyk, gminny zdrajca tajemnic wyższej mądrości, która kieruje narodami. Nieliczne wielkie i głębokie umysły, które przez wieki dzierżyły w ręku losy ludzkie, stworzyły i rządziły społeczeństwem, wiedziały, że istnieją prawdy, z którymi tłum nie powinien stykać się bez pośrednio w życiu codziennym, jeśli ma żyć pogodnie i spokojnie pracować.

Demokrata ogłosił te prawdy, wyniósł je na widok publiczny, rzucił je na pastwę tłumów. Czyniąc to, sądził, że podniesie tłumy, tymczasem wynikło z tego zamieszanie niesłychane, zezwierzęcenie i ogłupienie powszechne.

Demokrata zmaterializował miłość, wyjąłowił i pozbawił poezji życie.

*

Demokrata, którego doktryna uznaje wyższość ducha, w praktyce stał się ciemiężcą i zabójcą ducha; i choć nawet jego nazwa zawiera słowo: „lud“, — on sam w rzeczywistości nie ma pojęcia o tym, co to jest lud. Nie wie, że lud jest jednostką historycznie ważną i wielką tylko wówczas, gdy jest ożywiony jakąś wielką zasadą czy ideą transcendentną, jakąś pozytywną wiarą w element nadnaturalny i boski, kiedy zaś zabraknie mu tej wiary, przeobraża się w stado zwierząt, w nieszczęsny tłum wydany na łup zwierzęcym instyktom, które, jak wiadomo, drzemają w głębi każdego z nas.

Bolszewizm, legalny syn demokracji, lecz mniej od niej abstrakcyjny, wie o tym wszystkim, i w ludzie odwykłym od religii budzi zwierzęcość i popycha ją aż do ostatecznych granic, czyniąc z człowieka bydlę, zdolne do każdej formy niewoli

Po dokonaniu tego dzieła, puszczyk demokracji dziwi się nagle, że jego drogi lud „wyzwolony“ i „wolnomysłny“ stał się dziką hordą w służbie materialnych apetytów, cheiwą używania, gardzącą wszystkim, co nie jest bezpośrednim zadowoleniem cielesnym; dziwi się i oburza, że w nagrodę za takie przywileje lud wyrzeka się buntu, wyrzeka się nawet wolności, a wreszcie godności i przyzwoitości ludzkiej w jakiegokolwiek formie.

Gdyż demokratą nie wie nawet tego, co jest najważniejsze i najstraszliwsze: że lud, doprowadzony do stanu, o którym mowa, jest szczęśliwy w swoim spodleniu w swoim niewolnictwie, które go zwalnia od wysiłku umysłowego i moralnego, potrzebnego każdemu, kto pragnie uzyskać lub zachować duchową postać i rzeczywiste cechy ludzkie.

*

Właśnie w tych dniach przeczytałem ciekawą książkę B. Giacalone o Ameryce przed Kolumbem. Mówiący o ludzie Inkasów, który już sześćset czy siedemset lat temu zrealizował tę „nowość“, jaką jest komunizm rosyjski, i powiedziaławszy nam, jak to już w tej epoce stawiano czerwone-

go cara na miejsce Boga zdezonizowanego, autor tak pisze: „i utworzyło się przedziwne imperium, teokratyczne i komunistyczne, gdzie władca (jakiś ówczesny Lenin czy Stalin) był jednocześnie postrachem i przedmiotem adoracji. Nikt nie mógł zobaczyć oblicza władcy, jak nie można patrzeć w słońce, ale wszyscy odczuwali skutek jego działalności i musieli żyć według jego praw, które były bardzo szczegółowe i wkraczały we wszystkie dziedziny prywatnego życia. Lud był szczęśliwy, tą szczęśliwością, powiedzmy, zwierzęcą, wynikającą z braku trosk i potrzeby stawiania sobie zagadnień, których i tak nikt nie byłby mógł rozwiązać. Ludzie szli do pracy, kiedy kazano, żenił się, jak było przepisane, otrzymywali to minimum czego potrzebowali, nie troszczyli się o przyszłość. Opieka państwa nad indywidualium była tak stałą, że indywidualium wreszcie straciło nawyk myślenia i poczucie własnej indywidualności“.

Prawdziwy raj sowiecki, gdyby nie to, że autor „Americana“ mówi, iż z przybyciem 165 awanturników hiszpańskich wojsko tego szczęśliwego narodu, liczące 50.000 żołnierzy, zostało pokonane w ciągu 20 minut, cały zaś naród dostał się w niewolę.

Nikt nie ma powodu w to wątpić — chyba, że jest demokratą. Czy nie stanie się tak z Rosją, w odpowiednim momencie?

(Ardengo Soffici „Demokracja a bolszewizm“).



MAGISTER **W. KASPRZYCKI**
WARSZAWA PIUSA XI 30

LA TRIBUNA

L'IDEA NAZIONALE

Rzym, 31 grudnia 1936.

„Komunizm przyjął funkcję, którą Europa mu nadała, Francja zagwarantowała swoim sojuszem, zaś Anglia właśnie w tych dniach potwierdza groźbę rozszerzenia Paktu francusko - rosyjskiego na niekorzyść Niemiec. Komunizm wykorzystuje to uprzywilejowanie stanowisko, które pozwala mu występować w szacie paladyna pokoju w Genewie, w zbroi rycerskiej w Madrycie, w postaci doradcy w Paryżu, aż dopóki mętne nieporozumienie nie zostanie wyjaśnione. Tymczasem w dalszym ciągu stawia się na rosyjską kartę: stawia na nią Anglia z racji nieuzasadnionych obaw o równowagę śródziemnomorską w razie odbudowania potęgi morskiej po zwycięstwie gen. Franco; stawia na nią oczywiście Francja, która uważa zmorę niemiecką za realniejszą i bezpośredniejszą od niebezpieczeństwa wewnętrznego, które znów objawia się nową falą strajków w Paryżu: jednym słowem, są tego zdania ci, którzy, czy przez pokrewieństwo ideologiczne czy też przez mylne obliczenia hegemonji, są jeszcze dalecy od tego, aby zrozumieć, że jednym tragicznym i bezpośrednim niebezpieczeństwem dla Europy jest bolszewizm, który ma jako przesłankę — wojnę, jako konsekwencję — ruinę.

Na tych błędach, na tych niezrozumieniach, na tej ślepcie gra złośliwie polityka moskiewska, której nawet nie można nazwać podwójną lub nieszczerą. Wystarczy otworzyć radio, oficjalny organ propagandy, aby przekonać się o jej szczerości: w Moskwie pracują nad powszechnym nieładem i oznajmniają to otwarcie przy każdej sposobności: plan swój wykonują równie jawnie, wysyłając tuzinami okrętów do Hiszpanji wraz z ludźmi i bronią, a zapewniając jednocześnie z idealną prostotą, że tego nie czynią. Tak więc pierwsze stanowisko jest prawdziwe i szczerze; drugie jest wybiegiem i narzędziem taktycznym, ofiarowanym przez komunizm społeczeństwu, którego zniszczenia komunizm pragnie.

Nic więc dziwnego, że Rosjanin, podpisując akt, w duchu stosunków tradycyj-

nich między jednym państwem a drugim, nie przywiązuje żadnego znaczenia do tego zobowiązania; bolszewicy są, w pewnym sensie, poza dobrem i złem, i żądać od nich zapewnień, któreby sami uszanowali, jest tym samym, co żądać od mahometanina, aby przysiągł na Ewangelię.

Takie jest głębsze znaczenie odpowiedzi Moskwy na notę francusko - angielską. Czy to nowe uderzenie batem przekonana tępych i upartych?

(Z artykułu wstępnego: „Szczerość czy fałsz?” *Umberto Guglielmotti*).

Pourquoi Pas ?

Bruksela, 1 stycznia.

Tempelhof, dwunasta pięćdziesiąt pięć. Niebieski samolot „Lotu” — Polskie Linje Lotnicze — zręcznie odrywa się od ziemi i unosi nas do nieba berlińskiego, które, rzecz o tej porze roku niezwykła, jest też niebieskie.

Aparat nie może się równać z naszą „Sabena”, która przed dwudziestu minutami odleciała w kierunku przeciwnym, i którą zęgnaliśmy z lekkim uczuciem żalu. Ale, ostatecznie, samolot polski też jest bardzo wygodny, a co najważniejsze, zajedziemy do Warszawy w dwie i pół godziny, podczas gdy w pociągu stracilibyśmy cały dzień...

Mniej więcej w odległości 175 km. od Berlina mijamy granicę. Widać wyraźnie pociąg na małej jak zabawka stacji: Bentschen, który się stał Zbąszyniem. Celnicy przypuszczalnie działają, a jeśli są tak dokładni, jak ich koledzy z Tempelhofu, którzy wywracali nasze walizy, jakgdyby im zapłacono za rozwianie dobrej reputacji niemieckiej straży granicznej — to pociąg będzie jeszcze stał, a my już znajdziemy się w Warszawie („a Varsovie ou Warszawa, comme vous voudrez”).

Samolot płynie teraz nad polami odrodzonej Polski, Polski nowej, istniejącej zaledwie dwadzieścia lat, ale zbudowanej na tysiącletniej przeszłości.

Wkrótce zatrzymujemy się w Poznaniu (dawniej Posen), mieście o 200 tysiącach mieszkańców, które ma wygląd jeszcze niemiecki ze swem potężnym zamczys-

kiem nowoczesnym „Kaiserschloss”. Z ducha jest to jednak miasto czysto polskie.

Skończyły się rządy Reichu, który tu panował około 150 lat. Oczywiście, wielu mieszkańców rozumie i mówi po niemiecku, ale mało jest takich, co po niemiecku myślą...

Jeżeli okupacja pozostawiła wyraźne ślady, to przynajmniej w niczem nie zmieniła rasy, języka i patriotyzmu tego ludu, który wydał Sobieskiego, Kościuszkę (nie wierzyć w opowiadanie o rzekomym okrzyku „Finis Poloniae” po klęsce pod Maciejowicami), który wydał Ponia-towskiego, Piłsudskiego i Rydza - Śmigłego. Polska, uwzględniając jej cnoty i jej słabotki, jej cechy sympatyczne i mniej sympatyczne, nie jest ani niemiecka, ani rosyjska, ani austriacka i nigdy taką nie była. Jest poprostu krainą polską i jako taka rzuca się w oczy każdemu przyby- szowi.

Tego rodzaju jednolitości nie znajdzie- my w Czechosłowacji, ani w Rumunji, ani w Jugosławji, co każdy musi przy- znać bez względu na to, jak się ustosun- kuje do Polski odrodzonej. (D. c. n.).

(Wyjątek z korespondencji „Po- urquoi Pas“ en Pologne“).

JUTRO PRACY

TYGODNIK
SPOŁECZNO
POLITYCZNY

Warszawa, 3 stycznia.

Do roku 1903 w PPS pracowało tylko dwóch żydów — Jan Sachs i Feliks Perl.

W tym czasie istniały dwie żydowskie organizacje — Sjonisci i Bund, obydwie antyniepodległościowe, ciężące ku Rosji, ich programy rewolucyjne uznawały cał- kowicie państwowość rosyjską.

W r. 1903 PPS, pragnąc wciągnąć w or- bitę spraw polskich masy żydowskie, pró- buje założyć oddzielną organizację ży- dowską i wydaje dla żydów specjalne pis- mo, drukowane w żargonie „Arbajter”; utrzymuje na żoździe partyjnym specjal- nych agitatorów do roboty wśród żydów, a na konferencjach partyjnych kilkakrot- nie uchwalano rezolucję, wzywającą or- ganizację żydowską do wpływania na ży- dów, aby uczyli się po polsku mówić i czytać.

Nie dało to jednak żadnego efektywne- go rezultatu. Po paru latach uciążliwej

pracy, po wydaniu tysięcy odezw i pism z projektowanej organizacji żydowskiej, nie pozostało nawet śladu. W r. 1905-6 jeździ żydzi brali udział w ogólnych demonstracjach, to wnosili do pochodów jedynie zamęt, a na widok policjanta wzniesali taką szaloną panikę, że po tym robotnicy na zebraniach domagali się, aby żydów nie wciągać do pochodów.

Żydzi, którzy wstąpili do polskiej organizacji PPS, przyczynili partji daleko więcej szkód, aniżeli korzyści.

Nie licząc koła bojowego żydowskiego, istniejącego na początku 1905 r. w Warszawie, w Organizacji Bojowej było wszystkiego bodaj że tylko 6-ciu żydów. Z tych jeden, Szloma Eksztajn, przydzielony do pomocy Okrzei, podczas rzucenia przez tegoż bomby do cyrkułu policyjnego na Pradze, uciekł haniebnie, nie okazawszy rannemu Okrzei żadnej pomocy, ani obrony, na skutek czego Okrzeja został pojmany i następnie stracony. Dwaj następni, Szwarc i Ajzelist, od samego początku wstąpienia do Organizacji Bojowej, byli zdrajcami i przyczynili się do aresztowania kilkudziesięciu bojowców. Oni udaremnili odbicie Okrzei z rąk carskich żołdaków, oni udaremnili zamach na generał-gubernatora Maksimowicza, wydając w ręce policji bojowca inżyniera Tadeusza Dzierzbickiego, który w ostatniej chwili, broniąc się, rzuca bombę i ginie od jej wybuchu, oni też wskazali agentom carskiej ochrony bojowców Żukowskiego, Dobrowolskiego, Prystora i wielu innych.

Mniej więcej w roku 1903 wstąpiło do PPS kilku inteligentów żydów, mianowicie: Zofja Posnerowa, Horwitz, Feliks Kohn, Szymon i Stanisław Posnery, typy, jak ich określał Piłsudski, esreckie, którym obca była zupełnie narodowa ideologia PPS. Dzięki jednak swej ruchliwości zajęli wkrótce kierownicze stanowiska i od razu zaczęli PPS pchać na tory ugodowe, na tory wyrzeczenia się niepodległości, a uznania państwowości rosyjskiej.

Już w marcu 1904 r. jeden z przywódców tego ruchu, Horwitz, będąc delegatem na konferencję partyjną, zgłosił i przy pomocy swoich przeforsował uchwałę, żądającą zwołania konstyтуanty w Warszawie, jako naczelnego hasła PPS.

Od tej chwili rozpoczyna się konsekwentna praca Posnerów, Horwita, Kohna, Sachsa et comp. w kierunku zupełnego wyrugowania hasła niepodległości z programu PPS. Główny prowodyr tego kierunku, Jan Sachs, w roku 1906 na zebraniu partyjnym otwarcie powiedział: „Niepodległość Polski umarła, należy jej tylko sprawić pogrzeb“.

Ich ataki przeciwko hasłu niepodległości Polski, przeciw Organizacji Bojowej, przeciw Piłsudskiemu, dezorganizowały partję, osłabiały jej siłę, jej znaczenie narodowe i rewolucyjne, aż doprowadziły wreszcie do rozłam w końcu 1906 r. I okazało się, że robotnicy polscy, w imieniu których Horwitz i Sachsy rozbili partję, wypowiedzieli się prawie całkowicie po stronie reprezentantów idei niepodległościowej. Tylko dwóch żydów pozostało w prawdziwej niepodległościowej PPS: Feliks Perl i Frejlich (Most).

Inni wsiąkli do partji komunistycznej rosyjskiej, inni wrócili do swoich interesów, aby dopiero po wojnie zgłosić się z powrotem do PPS, jak Posner i inni.

Nie rozumiejąc ducha narodu polskiego, zwalczali polską ideę przewodnią podczas rewolucji 1905 roku, a po wojnie, w walce z Marszałkiem, pchali PPS na bezdroża.

Przyszły historyk, analizując działalność żydów w PPS, będzie musiał stwierdzić, że nie wnosili oni z sobą żadnych twórczych wartości, przeciwnie, rozgardiasz, dezorganizację i chaos, które prowadziły partję jedynie do klęsk.

Jeżeli PPS z dzisiejszego punktu widzenia uważać można za organizację radykalizmu narodowego, to w każdym razie w tym radykalizmie żydzi odegrali rolę prze ważnie ujemną. A na zakończenie przypomnijmy:

„Znacznie gorzej było z żydami, którzy przy panowaniu bolszewickim, byli warstwą rządzącą. Z wielkim trudem wstrzymałem pogrom, który wisiał poprostu w powietrzu z powodu tego, że ludność cywilna żydowska strzelała z okien i dachów i rzucała stamtąd ręczne granaty“.

Wyjątek z listu Piłsudskiego do premiera Paderewskiego po zajęciu Wilna.

(Jan Olsza „Rola żydów w P. P. S.“).

LE PAYS LIBRE !

ORGANE DU PARTI FRANÇAIS NATIONAL-COMMUNISTE

Paryż, 31 grudnia.

Blum jest kretynem. Robi wysiłki, pełniąc błąd za błędem, aby nam to udowodnić. Daje patriotom broń do ręki, aby go mogli zwalczać; jest pogardzany i ostatecznie będzie wypłuty wraz z podobnymi doń kreaturami.

Człowiek ten, nie mając żadnych zdolności twórczych, posiada wszelkie kwalifikacje na niszczyciela pierwszej klasy, na organizatora nieporządku, na roznosiciela nędzy i głodu. W tej dziedzinie jest nierówny.

Blum postępuje w taki sposób, jakgdyby przysiągł, że doprowadzi do upadku Francję wraz z kolonjami, że ją dobije.

Jego poczynania posiadają wszelkie cechy kretynizmu i to w ostrem stadium...

(Wyjątek z artykułu „Premjer bilan“).

le libertaire

ORGANE HEBDOMADAIRE DE L'UNION ANARCHISTE

Paryż, 1 stycznia.

Skorzystałem, podczas bytności w Barcelonie, ze spotkania z pułkownikiem Meną, który na froncie Huesca dowodzi kolumną, składającą się wyłącznie z anarcho-syndykalistów i członków Iberyjskiej Federacji Anarchistów. Gawędziliśmy dość długo o panujących nastrojach i o zagadnieniach dotyczących rewolucji.

Mena jest na froncie Huesca od 22 lipca. Opowiadał, jak to milicjanci stawiali opór faszystom mając tylko karabiny ręczne. Nieco później udało im się zdobyć karabiny maszynowe, ale brak amunicji długo dawał się odczuwać...

W Barcelonie życie układa się normalnie, choć wskutek utrudnionych stosunków z dalszemi okolicami brak jest chleba, ziemniaków, mięsa, mleka i serów, które stają się coraz trudniejsze do zdobycia. Koniec zimy zapowiada się dość ciężki dla naszych towarzyszy katalońskich.

Wszystkie wysiłki skierowano ku wojnie. Niestety, kłótnie stronnictw politycz-

nych nie sprzyjają należytemu ułożeniu się stosunków, wobec czego robotnicy za czynają zdradzać chęć zlikwidowania tych wrzaskliwych sporów.

Między rekrutami, którzy świeżo przyjechali z Francji, wykryto faszystów. Nasi przyjaciele czuwają nad tem bacznie, a reakcja międzynarodowa nie obali nas takimi sposobami.

(Wyjątki z korespondencji „Lettre de Barcelone“).

CLARIDAD

DIARIO DE LA NOCHE

Madryt, 28 grudnia.

Trybunał ludowy sądził wczoraj dwu nędznych szpiegów, którzy rozmyślnie wstąpili do szeregów naszej milicji, by porozumiewać się z wrogami. Jeden z nich zowie się Francisco Olmeda Tapia, drugi — Martin Lopez Carive. Tak przynajmniej oświadczyli, lecz któż nam zaręczy, czy nazwiska nie są zmyślone?

Obaj faszyci działali w sektorze Boadila del Monte, spełniając obowiązki sanitariuszów na punkcie opatrunkowym. Ich ciągłe rozmowy z rannymi milicjantami wydały się podejrzane kierownikowi szpitala im. Durruti, to też zarządzono obserwację. Ze znalezionych przy sanitariuszach notatek wyszło na jaw, iż są to faszyci. Trybunał ludowy zastosował wobec obu szpiegów najwyższy wymiar kary.

Towarzysze! Nie po raz pierwszy przypominamy, że faszyci wszędzie mają szpiegów. Nawet sanitariusz na froncie może być zdrajcą. Im bliżej frontu, tem większa jest czujność wywiadu faszystowskiego.

(Notatka „Un caso ejemplar“ z rubryki sądowej p. t. „La justicia del Frente Popular“).

LA LUTTE OUVRIERE

Paryż, 31 grudnia.

Gdzie jesteśmy? Czy w Niemczech na-
zajutrz po spaleniu Reichstagu? Nie! Je-
steśmy opodal Mostaganem, gdzie panuje
strach.

Rodzina żydowska zainstalowała się przed kilku laty w tem mieście. Pewnego ranka na ścianie ich domostwa ukazał się znak swastyki. Pozatem na drzwiach narysowano trupa z napisem: „Wy-noście się!“. Nieco dalej, na framudze, można było odczytać: „Precz z żydami!“. Chuligani faszystowscy de La Rocque'a w ten sposób zaznaczyli swe krwawe sty-gmaty.

Lękając się głodu i śmierci, biedna rodzina żydowska opuściła miasto pozostawiając dom i handel.

(Notatka pod tytułem „Anxieuse, Bel - Abbès attend le souffle républicain“. Miasto Mostaganem znajduje się w Algierji, około 70 klm. od Oranu, liczy 27 tysięcy mieszkańców).



Warszawa, 8 stycznia.

W Niemczech wprowadzono — kartki na tłuszcz. W samo Boże Narodzenie ludność otrzymała upominek świąteczny w postaci kartek: większej białej na masło i mniejszej zielonej na inne tłuszcze. Mieszkańcy będą mogli nabywać tłuszcz tylko w sklepie, w którym są zarejestrowani i tylko za okazaniem kartek.

*

Głód w Niemczech nie jest tedy żadnym dopustem bożym, żadną katastrofą żywiołową. Nie jest też skutkiem błędnej polityki gospodarczej. Jest to głód na rozkaz i głód jako świadome narzędzie polityki wojennej; głód jako gimnastyka przedwojenna.

Pewnie, że taki „sztuczny“ głód kryje dla hitleryzmu poważne niebezpieczeństwo, nie jest bowiem „popularnym“ artykułem propagandy. Ale taki właśnie głód jest nieuniknionym następstwem całej polityki wojennej hitleryzmu i niejako programową jej częścią. Stan gospodarczy i finansowy Niemiec jest tego rodzaju, że przy takiej polityce musiał i musi nastąpić taki głód. Hitler-

rowcy sami to rozumieją i uważają za coś naturalnego. Maluczko, a ogłoszą głodowanie za najwyższą cnotę rasy nordyckiej, co zresztą już czynią.

(Wyjątki z artykułu J. M. B. „Głód na rozkaz“).

EPOKA

Warszawa, 5 stycznia.

Premjer Składkowski w pierwszym swym wystąpieniu przed Sejmem wypowiedział walkę, zarówno komunizmowi, jak i skrajnemu nacjonalizmowi. Lecz rosnąca z dnia na dzień agitacja żywiołów klerykałnych i antysemitycznych, a więc antydemokratyczna, robi swoje w społeczeństwie.

Jesteśmy świadkami znamiennego zjawiska: oficjalne potępienie, zarówno wschodniej, jak i zachodniej „zarazy totalnej“, nabrało innego ustosunkowania, innych proporcji w traktowaniu tych dwóch niebezpieczeństw dla Polski — w świadomości bardzo wielu obywateli Rzeczypospolitej.

Stosunek skrajnej prawicy i skrajnej lewicy jest tu, oczywiście, z góry przesądzony, bo wypływa z ich założeń ideologicznych. Idzie nam tu o żywioły doniedawna demokratyczne, t. j. te, na których gmach państwowości polskiej — sądząc z enuncjacji czynników rządzących — winien się oprzeć.

Baczna obserwacja każe stwierdzić, że odbywa się w naszych oczach stała dezercja przedstawicieli tych żywiołów do obozu społecznej reakcji — pod wpływem antydemokratycznej agitacji, o której wspominaliśmy.

*

Nikt uczciwy temu nie zaprzeczy, iż jeśli dyskredytującym epitetem jest „komunizujący“, „sowietyzujący“ — zgoła inny moralny ciężar gatunkowy miałyby przymiotnik „faszyzujący“, czy „hitleryzujący“, gdyby go używano.

Poza wszelką akcją czynników odpowiedzialnych, istnieje jakby cicha zmo-wa, żeby mieć czujne i wrażliwe ucho od strony „zarazy wschodniej“, lecz prawe ucho, od strony „zarazy zachodniej“, zatykać starannie watą.

1) antynacjonalistyczny w sensie dążenia do przekształcenia Polski w mniej lub bardziej luźno związane państwo federalcyjne.

2) antykatolicki, to znaczy domagający się całkowitej laicyzacji życia publicznego w Polsce i ulegający wpływow międzynarodowej masonerii.

3) pro - żydowski, czyli odrzucający

wszelki program unarodowienia Polski, jej życia gospodarczego i kulturalnego.

4) „fronto - ludowy“, to znaczy wyraźnie domagający się udziału Polski w walce międzynarodowej bloku antyfaszystowskiego z blokiem faszystowskim po stronie pierwszego.

(Z artykułu *Polityka „Bez komunistów — dla komunizmu“*).

NASI WSPÓŁCZEŚNI

WŁADYSŁAW MAŁSKI

czerwony senator

Leży przedemną stos notatek o p. sen. Małskim. Czytam. Ex-nauczyciel ludowy... „czerwony senator“... niezwykła karjera... do niedawna nikt o nim nie słyszał... teraz potentat...

Dziwna nuda ogarnia człowieka przy tym temacie. Pamiętam, z czasów szkolych, takiego jakiegoś ministra Thurna, który gdzieś czemś się zasłużył, czy też przeciwnie, wyrządził jakiemuś krajowi straszliwe szkody, dość, że dużo i mętnie opowiadał o nim nasz historyk, zresztą później sławny komunista, p. Sochacki. Niewiadomo czemu, odrazu nabrałem do tego Thurna żywej abominacji i na samą myśl, że będę się musiał tego Thurna obkuwać, ogarniał mnie wstręt niepohamowany. Oczywiście, zamiast się uczyć o Thurnie, poszedłem na ślizgawkę i nazajutrz (akurat była odwilż, lało, jak z cebra) siedziałem w klasie bardzo smutny, myśląc, że jeżeli mnie Sochacki „wyrwie“ i jeżeli spyta o tego Thurna, to przepadłem, „Dwójka“ murowana.

Co to znaczą przecucia! Pierwszego mnie Sochacki wyrwał i z punktu spytał o Thurna. Tak w dzień deszczowy i ponury, jak mówi piosenka, zgubił mnie ten Thurn.

Lecz wróćmy do p. sen. Małskiego... (Dziwnie odstręczający temat). Swoją drogą, zdumiewająca rzecz, że cza-

sem budzą się w ludziach takie reakcje. Na oczy nie widziałem tego p. Małskiego, a wolałbym ćwiartkę drzewa urąbać, zamiast zajmować się tym tematem. Zupełnie, jak z owym Thurnem. Zdaje się, że to był saski minister, ale nie jestem pewny. Żeby wóczas nie poszedł na ślizgawkę...

A propos Sochackiego. Wóczas wcale nie wyglądał na przyszlą sławę polityczną. Zwykły sobie facet, tyle, że wielki drażał. O głowę wyższy od wszystkich nauczycieli. Gdy szedł korytarzem, wyglądał na semafor kolejowy. Na lekcjach był nudny (dziś widzę, że był banalny), opowiadał wciąż jedno i to samo. Inkwizycja, papieństwo, klerykalizm. Tym stylem przemawiał, co „Dziennik Popularny“.

Wracając do p. sen. Małskiego...

Trudno. Nie przemogę się dziś. Napiszę o p. sen. Małskim jutro, pojutrze, w przyszłym tygodniu. Dziś nie dam rady.

S.



OBIADY CZWARTKOWE

W przeglądzie prasy poprzedniego zeszytu MERKURYUSZA przytoczyliśmy w całości artykuł p. Zygmunta Wasilewskiego, z „Myśli Narodowej“, odpowiadający na interpelację naszą, postawioną w nr. 37 MERKURYUSZA z roku 1936.

Jak sobie Szanowni Czytelnicy przypominają, rzecz poszła o to, że p. Zygmunt Wasilewski bardzo mgliście napomknął w jednym z listopadowych numerów „Myśli Narodowej“ o tem, że Sienkiewicz był omotany przez masonów, którzy pilnie strażowali dokoła niego w Vevey, że czynił masonom ustępstwa, z których jednym było milczenie o żydach, wreszcie, że „Sienkiewicz nie był łatwą zdobyczą“.

Z całym respektem dla czcigodnego pisarza wysunęliśmy twierdzenie, że o tej sprawie tak mgliście pisać nie można. Z napomknąć powyższych wynika, że Sienkiewicz był wciągnięty do masonów, a jeśli tak, to należy tę sprawę wysświetlić we wszystkich możliwych punktach. I konkretnie postawiliśmy cztery pytania:

PYTANIA

1. Jakie strażę postawiono w Vevey?
2. W jaki sposób wciągnięto Sienkiewicza do masonów?
3. Jakie były bliższe okoliczności tej sprawy, personalne i rzeczowe (ustępstwo milczenia o żydach)?
4. Czy wogóle Sienkiewicz należał do masonji?

Jak Szanowni Czytelnicy łatwo mogą przekonać się z poprzedniego przeglądu prasy, p. Zygmunt Wasilewski odpowiedział tylko na pierwsze pytanie, przyczem ograniczył się do nazwisk, notorycznie znanych, mianowicie p. Askenazego i mec. Osuchowskiego.

A jednak sprawa jest zbyt ważna, aby można było na tem przestać. Mafja, o której mowa, istnieje i działa. Czasy, o których p. Wasilewski pi-

sze, nie są zbyt odległe. Koneksje i związki nie wygasły, nici nie zerwane, „bracia“ zmarli pozostawili następców. W najwyższym interesie publicznym leży ujawnienie tych wszystkich okoliczności.

CZŁOWIEK PUBLICZNY

Właśnie od p. Zygmunta Wasilewskiego możemy oczekiwać w tym względzie wiele. Jest on nietylko publicystą, ale i zasłużonym działaczem, który w rzeczach publicznych magna pars fuit. Tembardziej, że jak wynika ze sprawy, o której mowa, dużo wie.

Np. skąd inąd wiadomo, że przed wojną, niektóre nici masonji plątały się dokoła Muzeum Narodowego w Rapperswylu. Dzięki tej właśnie okoliczności, Stefan Żeromski otrzymał tam miejsce bibliotekarza, po wciągnięciu go do masonji, jak twierdzą dobrze poinformowani, przez szwagra, dr. Rafała Radziwiłłowicza.

A przecież właśnie p. Zygmunt Wasilewski tał także bibliotekarzem w Rapperswylu, jednocześnie ze Stefanem Żeromskim. Bezpośrednio więc ocierał się o ludzi, będących ofiarami mafji, niejedno widział, niejedno słyszał.

ŻEROMSKI I SIENKIEWICZ

Długi czas minie zapewne, zanim oceni się w Polsce dostatecznie, jak straszliwą krzywdę wyrządził nam duch masoński, krzywiący dusze zwłaszcza pisarzy, czyli ofiar, na które po ludziach politycznych, dybie masonja z największym wysiłkiem, prześladowając niezależnych, obdarzając dobrobytem i sławą tych, którzy się wreszcie podporządkują.

Jakże pouczającą jest historia Żeromskiego. O straszliwej nędzy, jaką cierpiał w czasach niezależności, może dać wyobrażenie tylko kilka rysów, jak dziś już wiadomo, ściśle

autobiograficznych, zawartych we ściepie opowiadania p. t. „W siłach niedoli“. Żeromski opisuje w nich swoje własne koleje z czasów, gdy studjował weterynarję i potem, po wypuszczeniu go z cytadeli, kiedy, dosłownie bezdomny, obdarty i głodny, włóczył się po ulicach naprzód Warszawy, a potem Kielc.

DWIE DUSZE

— *Dwie dusze kłócą się w Żeromskim* — pisze p. Stanisław Kobylński, którego historia pisarza, (wysoko cenionego właśnie przez Sienkiewicza), przenikliwego, uczonego i wszechstronnego umysłu, słowem człowieka, który powinienby zająć w społeczeństwie jedno z przodujących miejsc, a o którym nikt w Polsce nie wie tylko dlatego, że masonja skazała go na śmierć cywilną za prawdziwie skuteczną walkę, którą jej wypowiedział — *dwie dusze kłócą się w Żeromskim. Z duszy pol-*

skiej tryska cudowna liryka, poświęcona ziemi i przyrodzie polskiej, z duszy polskiej wyrasta stygmat cierpienia, rzeźbiący rysy tworzonych postaci — typów polskich. Zaciekła i ciasna djalektyka pseudo-filozoficzna, nienawiść klasowa i sekciarska, ogtuszanie i odurzanie się ształem seksualnym, spętaniem z przestępstwem... — oto pasorzytujące narośle duszy żydowskiej, wszczepione w twórczość Żeromskiego przez lożę wolnomularską.

MATERJAŁY

Już po opublikowaniu w nr. 37 uwagi o wciągnięciu Sienkiewicza do masonji otrzymaliśmy interesujące w tej sprawie materiały. Wstrzymaliśmy się wszelako z opublikowaniem ich, oczekując na zapowiedzianą odpowiedź p. Zygmunta Wasilewskiego. Ogłosimy je w zeszytcie następnym.

ROCZNICA PUSZKINOWSKA

Literacka prasa krajowa zalana jest artykułami okolicznościowymi o Puszkynie. Potop ten można porównać tylko z zalewem artykułów z okazji rocznicy Tołstoja, cośmy przeżyli w roku zeszłym.

Otwórzmy pierwszą lepszą encyklopedję i obaczmy, ile rocznic urodzin, lub śmierci pisarzy polskich wypadło w roku zeszłym, ile wypadła w bieżącym, a które z nich dały prasie tutejszej asumpt do entuzjazmu pisarskiego.

Lecz pomińmy polaków. Na bok z megalomanią narodową.

Ale przecież w roku zeszłym wypadła 600-lecie śmierci Giotta. 550-lecie urodzin Donatella. 300-lecie Boileau. 100-lecie urodzin Mark Twaina. Znow można ułożyć listę. I nikt z niej nie doczekał się nawet drobnej wzmianki, choć chyba każdy przyzna, że socjeta jest kompletnie przyzwoita, nieprawdaż?

A jednak tylko Puszkina. Tylko Tołstoj. Ech, ty Wołga, mat' radna-ja!

**W wirze życia
nie wolno!
zapomnieć**

103

O Z D R O W I U I

Przy wyczerpaniu, sklerozie, duszniczy, artretyzmie, reumatyzmie, ząiębieniach, zlej przemianie materji

Z A Z Y W A J

**SOK CZOSNKU
CHOYNOWSKIEGO**



Do nabycia we wszystkich aptekach
i składach aptecznych.

Laboratorjum B. CHOYNOWSKI i S-ka
Warszawa, Miodowa 14 — telefon 542-99

REJESTR MERKURYUSZA

Literatura pamiętnikarska w Polsce, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, nie wzbogaciła się, niestety, A szkoda. Ma ona u nas jaknajwspanialsze tradycje, co ważniejsza zaś, jest to niewątpliwie jeden z cenniejszych rodzajów literackich. Dopiero w ostatnich, rzec można, miesiącach, ożywiła się publikacja pamiętników. Właśnie mamy przed sobą jeden z nich. Nie jest coprawda pamiętnikiem w ścisłym znaczeniu, czyli opisem całego życia i wszystkiego, co autor widział. A szkoda. Należy on do pokolenia, które w życiu polskim odegrało rolę ważką: walczyło o Niepodległość — pozatem jest obdarzony niewątpliwymi zdolnościami pisarskimi. Miejmy nadzieję, że po tym, w zupełności udanym debiucie, autor wyda pełny swój pamiętnik, napisany tym samym stylem: jedrnym, oszczędnym,

pozbawionym pseudoliterackiej frazeologii i fałszywego patosu, a przecież (a może właśnie dlatego) plastycznym i obrazowym.

Książka o której mówimy, zawiera wspomnienia z udziału w konspiracyjnej robocie niepodległościowej z ostatnich lat przedwojennych. Napisała ją przez p. Jana Szczepkowskiego (*Jan Szczepkowski: Na drogach ku wolnej Polsce*. Warszawa 1937. Skład Główny: Księgarnia Alfons Prabucki i Aleksander Płocha. Warszawa, ul. Miodowa 1).

Trzymając się starej i wypróbowanej zasady MERKURYUSZA zamieszczania obszerniejszych cytatów z recenzjowanych książek, wciągamy do naszego „Rejestru“ szereg wyjątków ze wspomnień p. Jana Szczepkowskiego.

Podtytuliki nasze.

NA DROGACH KU WOLNEJ POLSCE (wyjątki z książki p. Jana Szczepkowskiego)

Nauczanie dzieci w tajnych kompletach T. O. N. *) obfitowało w różne epizody zderzeń z przedstawicielami władz i wytwarzało tę anegdotyczną treść, która stanowiła coś niby wesoły feljeton w poważnym czasopiśmie, i jednocześnie charakteryzowała działające osoby.

Na zakończenie rozdziału przytoczę dwa autentyczne zdarzenia.

Do pani Małgorzaty Starzyńskiej wszedł cichaczem, wejściem kuchennym rewirowy i zastał komplet dzieci przy lekcji.

Oburzony urzędowo, siada, aby napisać protokół.

— Jeśli pan chce, proszę pisać — powiada pani Starzyńska — lecz ja w protokole zeznam, iż komplet ten

jest tutaj od trzech lat prowadzony, a pan nic o tem nie wiedział!

Na takie dictum rewirowy złożył papiery i już prywatnie prosił o zlikwidowanie kompletu.

WARSZAWSKIE DZIECI

W innym znów wypadku podziwiać należy spryt i przezorność dzieci.

Panna Jałbrzykowska, późniejsza doktorowa Jakimiakowa, miała lekcję z dwanaściorciem dzieci we własnym lokalu, który zamierzała „od ósmego“ opuścić, o czym na bramie domu umieszczona została odpowiednia karta. P. Jałbrzykowska nie przewidziała, iż w czasie lekcji może zjawić się jakiś niepożądany kandydat na mieszkanie.

Naraz dzwonek w przedpokoju. Zostawia dzieci przy stole, założonym

*) Towarzystwo Oświaty Narodowej (przypisek Red.).

książkami i kajetami, sama zaś idzie otworzyć.

W otwartych drzwiach staje przed nią oficer żandarmerji i prosi o pokazanie lokalu. Panna Jałbrzykowska drętwieje z przerażenia, przekonana o zdecydowanej już katastrofie; prowadzi jednak groźnego gościa i pokazuje pokój pierwszy, a potem wskazuje uchylone drzwi do drugiego pokoju, gdzie są dzieci, objaśniając, że tam ten pokój jest większy... Oficer tem się nie zadawała. Otwiera drzwi, a zdumiona nauczycielka i właścicielka mieszkania widzi, iż w pokoju, choć nie miał innego wyjścia, niema już ani jednego dziecka! Książki, kajety i atrament znikły również bez śladu. Stół nakryty serwetą, a na nim kwiatki w doniczce...

Gdy żandarm opuścił lokal, a nauczycielka wróciła do zaczarowanego pokoju, począł się on zaludniać: z pod stołu, z poza portjery, z szafy i z pod łóżka wpełzały dzieci. Okazało się, że dzieci te, gdy tylko posłyszały rosyjski język i zobaczyły przez szparkę mundur w przedpokoju, natychmiast z własnej inicjatywy uprzętały wszystko i skryły się starannie.

Były to iście warszawskie dzieci!

W ORNACIE

Nie każdemu profanowi wiadomo, w jaki sposób odbywało się owe przewożenie bibuły tak świetnie obmyślane, że nawet „ochrana“ nie umiała poznać się na pozornej naszej „niewinności“.

Do transportu służył strój, któremu nadano miano „ornatu“. Poważna ta nazwa była trafną, nie tylko ze względu na zasadnicze podobieństwo do liturgicznego stroju, lecz również i z racji symbolicznego jej znaczenia.

Pozytywnie „ornat“ był to kawał podwójnie złożonego perkalu lub płótna szerokości ramion średnio zbudowanego mężczyzny, w środku zaś owego kawałka perkalu wykrojony był odpowiedni otwór na głowę. Ornat, wdziany pod koszulę, nie mógł być dłuższy od tułowia człowieka, gdyż musiał wraz z papierowym ła-

dunkiem mieścić się w rozluźnionem opięciu dolnej garderoby. Ornat „bibuła“ wypełniano, wsuwając pliki czasopism, broszur, czy też proklamacyj pomiędzy ścianki perkalu, przeszyte uprzednio na maszynie w ten sposób, aby włożone papiery miały własne przegródki, nie zsuwały się ani ku dołowi, ani na boki i utrzymywały zawsze równą powierzchnię.

Do ornatu ładowano zwykle 250 — 350 egz. „Polaka“, drukowanego na specjalnym cienkim papierze, lub 150 — 200 egz. „Przeglądu Wszechpolskiego“. Ilość zależna była od sił transportanta, pory roku, odzieży, wreszcie indywidualnych względów ekspedytora.

SZTO ETO TAKOJE?

Z boków ornatu przymocowane były mocne tasiemki do związywania piersiowej połowy tego pancernego stroju z połową plecową. Ornat pusty z tasiemkami, wiszącymi przy nim, sprawiał wrażenie jakiejś rytualnej bielizny. Zdarzyło się raz, że podczas rewizji u któregoś z naszych kolegów w Warszawie żandarmi wywlekli z szafy ów kawał perkalu z tasiemkami, nb. bardzo kompromitujący, gdyż znajdował się w nim zapomniany paszport austriacki, i nie podejrzewając w tej tkaninie „kramoły“, pytali: — *Szto eto za czort?*

— To takie sobie żydowskie nabożeństwo — objaśnił beczelnie konspirator.

Widocznie zarówno przedmiot, jak i przymiotnik w tem objaśnieniu wystarczająco zasugerowały żandarmów swoją lojalnością, gdyż nie pytając o szczegóły, porzucili w kącie owe „nabożeństwo“ i przystąpili do dalszego poszukiwania dowodów rzeczowych w bardziej znanych postaciach.

Taki właśnie ornacik, wypchany wewnątrz „Polakiem“, czekał na mnie, gdy powróciłem z wycieczki po Krakowie. Jerzy Gościcki był człowiekiem bardzo wyrozumiałym dla nowicjusów, dzięki czemu dał mi tylko 250 egz. Gdy wdziany przez gło-

wę ornat opadł mi ciężko na piersi i plecy i gdy go mocno owiązano taśmami, aby szczelnie przystawał, doznałem wrażenia, że mam na sobie prawdziwy średniowieczny pancerz. Chciała mi wtedy duma piersi rozpierać, lecz było dla niej za ciasno: ledwie miejsca na rozszerzenie płuc przy oddechu starczało. Po opięciu ad hoc rozciętej z tyłu kamizelki i innych części garderoby, rozszerzonych do ostatnich granic możliwości, stałem się poprostu mówiąc, tęgim i twardym bęcwałem. O swobodzie ruchów, zginianiu, a nawet wykonywaniu tych funkcji, od których człowiek najbardziej dumny i dostojny uchylić się nie może, gdy natura praw swoich zażąda — teraz mowy być nie mogło. Myślałem z rozpaczą o tem, że przykra ta sytuacja ma trwać aż 14 godzin!

W DROGĘ

Po wdzianiu marynarki uwidoczniły się jeszcze niesamowite płaszczyny tułowia, dopiero miękki włos futra wyrównał dyskretnie kształty. Pozornie byłem tylko, choć młodym, lecz już zażywnym gentlemanem, to jest takim obywatelem, który według przedwojennego mniemania był zawsze bezwzględny przeciwnikiem wszelkich nielegalnych utopij, właściwych przymusowym głodomorom lub bladolicym studentom, noszącym długie włosy, rozczochrane brody, wytarte palta i nieziszczalne marzenia w sercach.

Na dworcu w Krakowie spotkałem Stefana Dziewulskiego. Jechał tym samym pociągiem. Druha Dziewulskiego znałem z klubu wioślarzy, widywałem go często w tamtejszej klubowej sali gimnastycznej, gdzie prowadził ćwiczenia konspiracyjnej grupy sokolskiej „Kilińszczyków“, wiedziałem więc, że jest to „nasz“ człowiek. Dlatego też po przywitaniu szepnąłem mu, aby się trzymał zdala ode mnie i powiadomił kogo należy, jeżeli mnie „nakryją“.

Po tem zwierzeniu się lubianemu ogólnie panu Stefanowi poczułem pewną ulgę duchową, jak przysły

nieboszczyk, gdy zezna przed rejentem swoją ostatnią wolę.

NA GRANICY

Na dworze noc mroźna, księżycowa, a w wagonie piekielnie gorąco. O zdjęciu futra mowy, być nie może. Około 10-ej przejeżdżamy graniczną rzeczkę. Widzę na stronie Królestwa Polskiego symbol naszej niewoli: żołdata z karabinem. Przykre uczucie staje się realnie bolesnem, gdy pociąg staje przed stacją w Granicy. Po pustym zupełnie peronie spacerują żandarmi i sterczą rozstawieni w długim rzędzie brodaci kacapi niby pomocnicy mistrzów katowskich. Mam wrażenie, że zbliża się chwila egzekucji. Wsiadać z pociągu nie wolno. Od przedziału do przedziału idzie oficer żandarmerji i odbiera dokumenty. Widzę, że oficer jest ten sam, który rano wręczał nam paszporty, a ja niestety już nie jestem ten sam! Niechęć na tem, że nazywam się teraz zupełnie inaczej i że jestem już wątpliwej prawomyślności słuchaczem filozofji z Krakowa, gdy rano byłem jeszcze pocziwym piwowarem z Okocimia, lecz nadobitkę wobec braku innego paszportu stałem się urzędowo brunetem niskiego wzrostu, co już było zgoła nieprzyzwoitym żartem z bardzo realnych i wręcz odwrotnych właściwości, jakimi mnie natura łaskawie obdarzyła.

— Jak się masz, dziesiąty pawilonie! — szeptałem, zdecydowany na wszystko, usłyszawszy brzęk ostróg.

PAZWOLTIE

W REWIZIONNYJ ZAŁ

Podąłem paszport, żandarm zajrzał do środka, rozłożył go w nieciekawem miejscu, gdzie są wizy, schował do teczki i poszedł dalej. Chciałem odetchnąć z ulgą, lecz był to dopiero początek: zarzucenie niewodu na rybki. Po odebraniu wszystkich paszportów, na peronie rozlega się tubalny głos żandarmów: Gaspada pazwoltie w rewizjonny zał! (proszę do sali rewizyjnej!) Ton, którym było wy-

głoszone to zaproszenie, tak brzmiał, że nawet ludzie anielsko niewinni, wiozący tylko jedwabne krawaty i chusteczki, czuli się przestępcami, których zbrodnie stanu będą udowodnione.

Od sali rewizyjnej bije zdala jakaś ponura groza. Idziemy do niej, prowadzeni przez brodatych kacapów, którzy jako zaufani tragarze komory zdążali już chwycić w istinno prawomysłne łapy nasze kuferki. Na długim stole rozstawiamy otwarte walizki i nesesery. Panowie celnicy macają, badają, szukają cygar i jedwabi, które przezorni pasażerowie wiozą oczywiście w kieszeniach lub pod futrami. Czekam na swoją kolej i ukradkiem spoglądam na odzianych po cywilnemu agentów „ochrony“. Niebezpieczni ci panowie włóczą się po sali lub stoją pod ścianą i przenikliwie obserwują każdego pasażera. Po chwili czuję na sobie uparty wzrok jednego z argusów. Pewien jestem, że coś wywęszył. Ciekawym jednak, po czem ten łotr poznaje, że wiozę bibułę? Może denuncjacja.. Wiem, że w podobnych wypadkach nie można tracić fantazji. Robię więc minę znudzonego arystokraty, zapalam prawdziwe austriackie „regalistas“ za 8 centów z gatunku, jaki palił zwykle sam Franciszek Józef, i przez kłęby dymu zerkam na szpicla. Widzę, że wylazł ze swego posterunku pod ścianą, obchodzi mię dokoła, patrzy podejrzliwie świdrującym wzrokiem... Widzę jego podłą gębę coraz bliżej. Jest tuż przy mnie. Instynktownie cofam się o krok wstecz, a on ręką ukazuje na bok mego futra. Pochylam głowę, aby zobaczyć, co on właśnie wskazuje. Nie widzę w tem miejscu nic więcej, prócz kraciatostego pledu i nieodłącznej trzecinowej laski, które trzymam na zgiętem ramieniu.

BADANIE

— O co chodzi? — pytam go dosyć opryskliwie.

Agent milcząc wyciąga mi z pod pledu poczwiałą laskę, bierze ją w łapy, nagniąta w różnych miejscach,

próbuję odkręcić rączkę, choć była jednolita z całością, wreszcie puka w nią knykciem i słucha dźwięku, którego nie była w stanie wydać z siebie. Gdy już jak wzorowy diagnosta wymacał i opukał podejrzaną trzecinę ze wszystkich boków, wtedy zwrócił mi ją z powrotem, ukłonił się grzecznie i poszedł oglądać innych pasażerów. W trakcie owych badań organizmu laski domyśliłem się, o co mnie podejrzewa, i zrobiło mi się w sercu ogromnie wesoło. Bałwan ów szukał ukrytej w lasce szpady. Gdyby zamiast macania trzciny pomacał jej właściciela, pewnie dzień ten należałby do błogosławionych w jego karierze urzędowej!

Po zrewidowaniu rzeczy, przewożonych jedynie dla zachowania pozorów normalnego wojażera, tragarz celny, prawdziwie kubistyczny typ rosyjski, znów chwycił walizkę i pośpieszył ku drzwiom sali bufetowej. Tu postawił walizkę i zdjawszy czapkę, poprosił o napiwek.

— Nieście dalej, do bufetu!

— Nielzia barin, tam drugoj.

DALSZY CIĄG

W tej chwili z poza drzwi zjawił się tragarz kolejowy w niebieskiej bluzie z numerem na ramieniu, polski wąsaty typ — wrażenie miłe, jak każdy powrót do swoich. Kolejowym tragarzom wzbroniony był wstęp do sali rewizyjnej, gdzie panowała wyłączna surowa władza, głęboko przekonanana o wysokiej wartości swych środków, demaskujących kontrabandę.

W ogromnej sali bufetowej przy długich, pięknie nakrytych stołach, wśród brzęku talerzy i platerów, nastrój zmieniał się krańcowo. Przez granicę każdy z zasady coś przewoził, nieraz drobnostkę — byle wykazać swój heroizm, lecz zwykły sybaryta drżał więcej z powodu ukrytej za podszewką szpilki z orzełkiem, niż konspirator, przewożący dynamit lub bibułę.

Po udatnem przejściu sali rewizyjnej każdy z większych lub mniej-

szych kontrabandzistów cieszył się zwykle w duchu jak psotny uczeń po splątaniu figla. Kolacja smakowała wybornie, choć obawy niebezpieczeństw dla wiozących bibułę nie kończyły się u wyjścia z sali rewizyjnej. Cały szereg niebezpiecznych etapów kontrabandzista miał jeszcze przed sobą.

Po jadalni myszkuje tajni agenci i obserwują pasażerów: często zbyt wesółą miną, zdenerwowanie, a nawet brak apetytu mogą się wydać podejrzane. Aby uniknąć tego rodzaju pozorów, wzbudzających podejrzenia, bywalcy radzą zachowywać się swobodnie, jak u siebie w domu, i zadys-

ponować burżuazyjną kolację... Szczególnie ta ostatnia rada była dobra, lecz rzadko wykonalna dla przedwojennych ideowych konspiratorów. Dziś jest odwrotnie — tempora mutantur.

W drodze należało wystrzegać się innych pasażerów, którzy mogli być słusznie zaintrygowani, że ktoś się nie rozbiera i nie śpi po ludzku na miękkiej kanapie, jaką mu dano do rozporządzenia od Granicy do Warszawy za bajecznie niską dopłatą 75 kopiejek. Wreszcie na dworcu w Warszawie trzeba przejść obok ostatniego posterunku agentów politycznych i celnych.

F R A S Z K I

WŚCIEKŁOŚĆ I RADOŚĆ

Wycinek ze stołecznego „Robotnika“ (5.I):

Jakaż wściekłość musi panować w Berlinie na wieść, że tanki użyczone Franco- wi, nie mogą się oprzeć 22-centymetrowym działom. I jaka radość dla nas, przyjaciół wolnej Hiszpanji, że towarzysze nasi nie są już bezbronni wobec napastnika!

W tej radosnej notatce jest wściekła fantazja. Któż to strzela z dział fortecznych i okrętowych do czołgów? Nie rozdmuchujcie kalibru armat, bo strzelając 75 mm-ówkami z dział 22 cm-owych, nie traficie nawet w płot.

ZACHĘTA

W czasopiśmie „Siew Młodej Wsi“ (3.XII) znajdujemy taką pochwałę

nowej odmiany papierosów:

Należy się spodziewać, iż papierosy „Machorkowe“ w krótkim czasie zdobędą nasz wiejski rynek, umożliwiając wreszcie polskiej wsi korzystanie z papierosów ekonomicznych a jednocześnie droższych od robionych własnoręcznie.

Młoda wieś polska nie da się skusić tego rodzaju zachętą.

CZARNA MSZA

Zapowiedź koncertu w „Głosie Kujawskim“ (6.I):

W drugiej części programu zostanie odtworzona msza kwartetowa A. Diabelliego przez czterech socjalistów.

Oczywisty błąd zecerski nie czarna msza. Autor miał na myśli solistów. Ale i taki kwartet solistów, to także niezła sztuczka.

WYDAWCA I REDAKTOR: JULJAN BABIŃSKI

PRENUMERATA: miesięcznie 1 zł. 50 gr., kwartalnie 4 zł. 20 gr., półrocznie 7 zł. 20 gr. Zagranicą miesięcznie 2 zł. 40 gr., kwartalnie 6 zł. 40 gr., półrocznie 12 zł. Kwartały i półrocza liczy się od 1-go każdego miesiąca

OGŁOSZENIA: za miejsce wysokości 1 mm. przez jedną szpalte za tekstem 50 gr. w tekście 70 gr (Wszystkie kolumny są dwuszpaltowe). Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przyjmujemy się.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Chmielna 27 m. 6. Telefon 664.75.

Konto P. K. O. 28.388.

Przyjęcia Aam. goz. 9 — 2 p. p.

Redakcja 1 — 2.